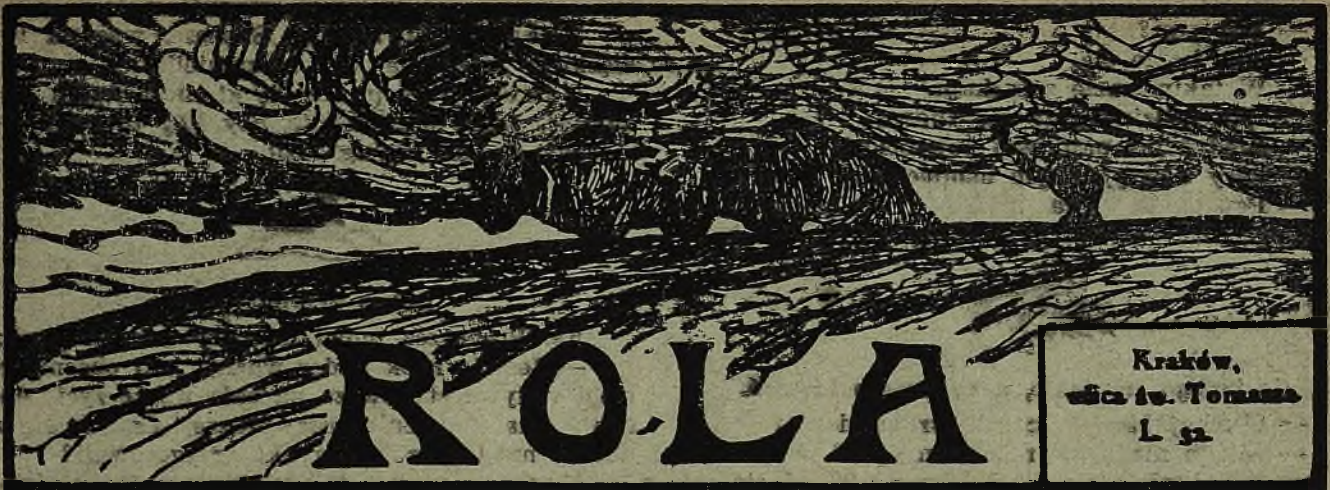
**Numer 50.** Nal. poczt. opł. ryczałtem. **Dnia 14 Grudnia 1930**




ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Gość do służącego:

— Jest pan?

— Nie, kąpie się.

— W takim razie zaczekam.

Po pół godziny pyta się znowu:

— Kiedyż już pan twój powróci?

Służący z przyjemnym uśmiechem:

— Pewno za dwa miesiące, bo pojechał do Krynicy.

**Co innego sumienie, a co innego kieszeń.**

— Słuchaj Mosiek, czy masz sumienie?

— Jak ja mogę nie mieć sumienia?

— A jednak zdzierasz i bierzesz 20 od sta.

— No, to przecież nie idzie do sumienia tylko do kieszeni.



**Dowcipny.**

Pewien gospodarz wiezie wielką furę zboża przez miasto. Naraz konie szarpnęły w bok, wskutek czego fura się przewróciła.

— Dla Boga — wrzeszczy głośno chłopak — mój synek mi się udusi, on jest pod snopami!

Na ten wrzask wszyscy ludzie biegną z pomocą, nawet oficerowie. Na gwałt rzucają zboże z powrotem na wóz, gdzie chłopek stoi i zaraz je układa, lecz gdy wszystkie snopki już na wozie leżały, przekonali się wszyscy ze zdumieniem, że synka nigdzie niema.

— Cóż to, a gdzie synek? — pyta wszystko.

— W domu! — odpowiada figlarz chłopek i wesoło dalej jedzie.

**Skromne życzenie.**

Prezydent sądu: Skazano was na 10 lat ciężkiego więzienia. Czy zrozumieliście?

Oskarżony (nisko się kłaniając): Ma się rozumieć, panie prezydencie, oby Bóg to panu w tysiączny sposób wynagrodził.

**Dobre przygotowanie.**

Ks. Proboszcz mówi do pary narzeczonych:

— Jest to krok nader ważny, jaki obecnie robicie i wpływa stanowczo na całe wasze życie doczesne a i na zbawienie duszy waszej! Czyście się więc dobrze na ten uroczysty akt przygotowali?

Narzeczony: A jakże proszę jegomości. Jużeśmy zabili i cielaka i wieprza i czterdzieści gęsi.

**Chybiony skutek.**

— Wiesz co — mówi Michał do swego kolegi — miałem dziś nader piękny sen.

— Tak, i cóż ci się śniło?

— Śniło mi się, żeś mi wreszcie oddał 20 złotych, którem ci już dawno pożyczył.

— Rzeczywiście, zachwycający sen, który mi dodaje odwagi prosić cię o wypożyczenie jeszcze 10 złotych.

**Przy wojsku.**

Lekarz do rekruta: Co ci dolega?

Rekrut: Nie mogę jeść chleba komiśnego.

Lekarz: Dlaczego?

Rekrut: Bo mi go inni wezmą i zjedzą.

Numer 50. Rok XIII. Kraków, dnia 14 grudnia 1930.

# ROLA

Kraków, ulica św. Tomasza L. 32.

ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

**Prenumerata** na rok 1930: Rocznie 12 zł, półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40 zł; do Czechosłowacji rocznie 50 koron cz. półrocznie 27 kor. cz., kwartalnie 15 kor. cz.; do Francji rocznie 60 franków fr., półrocznie 30 fr., kwartalnie 15 fr. — Do Ameryki rocznie 2 i pół dolara. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji »Roli« 30 groszy, Adres na listy do Redakcji i Administracji »Roli« **Kraków, ulica św. Tomasza 32.**

**Konto pocztowe w Polsce: Kraków P. K. O. 406.301** Konto pocztowe w Czechosłowacji: Praga Poczt. Urząd Czekowy 500.868.

# Miłosierdzie.

Miłosierdzie nieznane było starożytnemu światu. Większa połowa ludzkości jęczała w okrutnej niewoli. W państwie rzymskiem za cesarza Augusta, to jest w chwili przyjścia Chrystusa na świat, na 120 miljonów ludności liczono do stu miljonów niewolników. Niektórzy Rzymianie mieli po 20.000 niewolnic i niewolników. A strasznym był los niewolników. Okrucieństwo, rozpusta, samolubstwo opanowały ówczesnych władców świata.

Niewolników sprzedawano, jak zwierzęta, piętnowano na czole rozpalonem żelazem, niewolnicami karmiono ryby, znęcano się niewypowiedzianie. Przyjście Chrystusa Pana stało się koniecznością dziejową. I przyszedł On promienny, Bóg-Człowiek prawdziwy i zapewnił ludzkość: „Błogosławieni miłosierni, albowiem oni miłosierdzia dostąpią". (Mat. 5, 7):

Niemiłosierny świat starożytny upadł pod naporem plemion barbarzyńskich, a na jego gruzach nauka Chrystusa dźwigała kobietę i dziecko z ciężkiego upodlenia, uświęcała życie rodzinne, znosiła niewolnictwo, budowała szpitale i inne dzieła miłosierdzia.

Polska w dniach swojej chwały i potęgi opieką troskliwą otaczała biednych, mieszczaństwo i lud wiejski, jak np. za Kazimierza Wielkiego. Powoli możnowładcy i szlachta wtrącili lud w ciężką niewolę. Zapomnieli o słowach Zbawiciela świata: „ tak bądźcie miłosierni, jako i Ojciec wasz miłosierny jest. Nie sądźcie, a nie będziecie sądzeni. Nie potępiajcie, a nie będziecie potępieni. Odpuszczajcie, a będzie wam odpuszczono. ...Bo tąż miarą, którą mierzycie, będzie wam odmierzono." (Łuk. 6, 36—38.)

Stanisław Staszyc w „Przestrodze dla Polski" w r. 1790 pisał: „Pięć części narodu polskiego stoi mi przed oczyma. Widzę miljony stworzeń, z których jedne półnago chodzą, drugie skórą albo ostrą siermięgą okryte. Wszystkie wyschłe, znędzniałe, obrosłe, zakopciałe, oczy głęboko w głowie zapadłe, dychawicznemi piersiami bezustannie robią. Posępne, zadurzałe i głupie, mało czują i myślą, to ich największą szczęśliwością". Obok innych przyczyn, upośledzenie i niewola ludu ciężko zaważyła na losach naszej Ojczyzny przedrozbiorowej.

Zła i niesprawiedliwa aprowizacja Petersburga w r. 1917 była bezpośrednio przyczyną rewolucji rosyjskiej. Przed jej wybuchem robotnicy i biedni cierpieli brak żywności, zamożni zaś odbywali huczne zabawy, zatopione następnie w morzu krwi i cierpień strasznych całego społeczeństwa. Miłosierdzie jest więc nietylko nakazem gorącego, czującego serca, lecz również praktycznego, zimnego rozumu.

Wolno nam i potrzeba uwzględniać ważniejsze potrzeby naszego otoczenia, i dopomagać sierotom, kalekom i starcom, a próżniaków, leniwych żebraków pędzić do pracy. Ci ostatni bowiem, pragną miłosierdzie innych wyzyskać dla siebie ze szkodą prawdziwie potrzebujących. Na ziemi raju nigdy nie będzie, więc też sposobności do praktykowania miłosierdzia nikomu i nigdy nie braknie. Korzystajmy i my z tej sposobności, by kiedyś i nas wezwał Chrystus do Siebie słowami: „Zaprawdę powiadam wam: pókiście uczynili jednemu z tych braci moich najmniejszych, mnieście uczynili." (Mat. 25, 40.)

Bądźmy miłosiernymi dla bliźnich, gdyż i my może prędzej, aniżeli się spodziewamy, sami dla siebie miłosierdzia Bożego potrzebować będziemy.

*Jan Pelczar.*

WŁAD. DUNAROWSKI (WOSNAK).

# Zwierciadło na dachu.

(Nowela).

(Dokończenie)

Co z tego?

Sposępniał Dumin, patrząc na swój nowy dach. Powinien się radować, że zabudowania od dołu do szczytu w porządku... że gospodarka idzie jako tako że...

Tymczasem tak mu jakoś nieswojo.

Dlaczego?

— Djabła cały świat warty!

Ociężałym krokiem powlókł się do izby, wyciągnął klarnet, i ruszył gdzieś przed siebie, nie troszcząc się o nic. Szedł po zapomnienie.

Szedł tam, gdzie nie znajduje się nic, albo wszystko.

Od wyjazdu Jantka do Kanady mijał rok. Pisywał często: co miesiąc list jeden albo czasem i dwa. Potem się urwało. Ostatni list był już ze szpitala.

Wyraz „szpital" chwycił matkę za gardło ostremi szponami. Nie słuchała reszty listu. Straszliwe słowo, na wsi rzadko wymawiane, wirowało jej przed oczami, zasłaniając wszystko inne. Wsparła się całem ciałem o ścianę, a łzy popłynęły ciurkiem po jej twarzy, wykrzywionej bólem milczącym.

— Głupia!... już do beku — złościł się Dumin. — Żebyś choć miała o co. Szpital!... Cóż wielkiego?... Ludzi miastowych, jak któremu krew się puści z nosa, zaraz wleką do szpitala.

Jantek tymczasem dogorywał w szpitalu. Nie czuł tego po sobie, choć lekarz dyżurny, jakiś chłodny Amerykanin, dawno mu to wzrokiem wypisał. Lecz Jantek na szczęście nie patrzał w cudze oczy: tych, w któreby chętnie spojrzał, nie było. Same obce, dalekie, obojętne. Przedtem nic sobie z tego nie robił. Zresztą na sentymenty niewiele czasu poza pracą zostawało. Miał w otoczeniu kilku rodaków — i świadomość tego podtrzymywała go na duchu w najgorszych chwilach.

W szpitalu było inaczej. Jasny, słoneczny grób. Przeróżne mowy słychać, lecz żadna do jego niepodobna. Słyszy słowa angielskie, których już parę rozumie, słyszy inne, jakieś bardziej cudaczne i niewyraźne. Dziwi się, jak ludzie mogą się porozumieć takiemi dźwiękami. Czemu to wszyscy nie mówią tak, jak w jego wsi rodzinnej... O, bo wtedy i szpital nie byłby tak straszny. Możnaby chorować, a nawet umierać.

Z dnia na dzień rośnie w nim pragnienie gorączkowe zachłyśnięcia się tą mową daleką, a tak sercu bliską. Nie myśli o wyzdrowieniu, tylko o tem. Czuje, że nie lekarstw, ale czegoś całkiem innego mu potrzeba. A gdy sobie uprzytomni, jaka przestrzeń świata dzieli go od tego nektaru życia — rozpacz osiada mu na twarzy i szkliwem zasłania oczy. Widząc to lekarz, coś dużo szepcze do pielęgniarek, które przytakują mu głowami i coraz nowe lekarstwa podsuwają choremu.

Jantek przyjmuje to ze wstrętem. Wylułby chętnie, ale się obawia... Sam jeden jest wśród tylu innych. Z pewnością wszyscy rzuciliby się na niego, bo on jeden tylko obcy wśród nich wszystkich. Sierocą dolę poczuł na sobie. Świata zachciało się mu — to ma. Widzi, że do świata trzeba coś więcej niż dwoje rąk i nóg.

Uśmiecha się doń pielęgniarka. Uśmiecha się życzliwie, ale i z politowaniem. Dlaczego? Czyż on to sierota jaki bez ojca i matki?... Czyż niema nikogo, ktoby się za nim ująć zechciał, gdyby zaszła potrzeba?...

Spojrzał w okno zalane słońcem.

— To samo, co tam... Dla wszystkich dobre i uśmiechnięte.

Po chwili zauważył:

— A przecież tam cieplejsze!

Mimo to patrzał w okno do zmroku. Widoku sali unikał stale. Nawet ciepłe wejrzenie pielęgniarki nie przynosiło mu ulgi. Cieszył się jednak, gdy się zbliżała. Patrzał tedy w jej rozchylenie warg, łudząc się, iż może z tych warg wytryśnie cud największy: słowo serca... objawienie łąk nadwiślańskich... szept ducha... cud żywy — jedno słowo polskie.

Ale cud się nie spełniał.

Mimo to łudził się dalej.

Może... może... Różne cuda dzieją się na świecie, czemużby ten jeden nie miał się urzeczywistnić. Czemużby? Wszak modlił się o to tylko w bezsenne noce szpitalne. Modlił się tak szczerze, jak może nigdy w życiu. Nie o zdrowie się modlił, ale o ten duc, zamknięty w ludzkich wargach. Wierzył, iż wtedy wróciłyby mu siły i podźwignęły z łoża.

Raz sięgnął po książkę. Przerzucił parę kart, niemych jako ci ludzie, co go otaczają. Z nudów zaczął sylabizować:

— A friend of Dean Swift one day sent him a turbot as a present by a servant who...

Miał dosyć.

Gorycz rozlała się po twarzy chłopca, niszcząc słabe przebłyski nadziei.

Pewnego dnia przeniesiono go do innej sali. Nie domyślał się powodu. Tylko pielęgniarka coś więcej uśmiechała się do niego.

Sala była jak inne. Z tą różnicą, że po łóżkach ciągnęły się jakieś druty, przechodzące z poduszek aż na ścianę.

— Pewnie warjatów tu trzymają — pomyślał Jantek. — Więc mnie za takiego mają?

Potem założono mu na uszy jakiś bandaż, czy coś takiego. Wnet ze słuchawki zaczęły się dobywać jakieś szmery, świsty... muzyka?... Co to? Jakże to wyrozumieć?... Zwiduje mu się, czy co?... Chyba nie...

Pielęgniarka stanęła przy aparacie radjowym, przesuwając coś palcami.

Nastawiała na daleką falę.

Jest.

Jantek drgnął. Jakby prąd elektryczny przeszedł po jego ciele. Jest-że to rzeczywistość? W każdym razie cud!... Żywe słowa, zrozumiałe... pieśń najcudowniejsza...

Słuchał.

„Gdyby rannem słonkiem
Wzlecieć mi skowronkiem...
. . . . . . mój do ciebie..."

Jak?... Jantku, czy Jaśku?... Przesłyszał się.

Słucha dalej. Niczego mu więcej nie brak. Nie zapomnieli o nim, znaleźli za oceanem. Serce mu bije coraz silniej.

— Transmisja z Krakowa... Hejnał z wieży Marjackiej...

Słyszy.

Głos trąbki... na cztery strony świata. Chryste!... w Kanadzie słychać hejnał z wieży Marjackiej! Czyby kto uwierzył?

Potem pieśni chóralne.

W zasłuchaniu tem Jantek usypnia. Śni mu się, że jest w swej wsi na jakiemś weselu. Są wszyscy krewni i znajomi, bliżsi i dalsi. Jest także Wikta. Robi mu wyrzuty, że tak długo kazał na siebie czekać. Łagodzi ją, jak może i do tańca bierze. Muzykanci nie próżnują. Między nimi jest także ojciec. Gra na klarnecie. Wesołość wielka. Jemu jest tak wesoło, że aż mu się słabo robi... Jest w kościele. Ten sam wielki ołtarz, na który patrzał od dziecka. Świece się palą... organy trzęsą chórem... dym kadzidła... śpiewy, śpiewy... Jak tu dobrze!

Budzi się. Ciemno. Lecz jego oczy pełne są jasności. Z przypomnienia wydobywają się dźwięki najdonioślejsze.

...Gdyby rannem słonkiem...

Chce sam zaśpiewać... próbuje dobyć głosu... Nic nie słychać. Na sali wielka cisza.

Dumin przyszedł z kościoła i rzucił się na ławę, nie zdejmując kościelnego ubrania.

Duminkę coś piknęło w serce.

— Byłeś na poczcie? — zapytała drżącym głosem.

Nie odpowiadał. Sięgnął ręką do kieszeni i rzucił papier na stół.

— Macie!

Kobiecina krzykła przeraźliwie i bezprzytomna powaliła się na przypiecek. Wnet zbiegły się sąsiadki i jęły ją cucić. Cały dom napełnił się zgiełkiem i płaczem.

Dumin, nie mogąc tego znieść, wyszedł na osiedle. Z pochyloną ku ziemi głową kręcił się po podwórzu, sam nie wiedząc za czem. Potem wyprostował się nagle, jakby pragnął otrząsnąć się ze wszystkiego. Uniesiony wzrok ku górze spoczął na jaskrawej kalenicy, na której niedawno ślizgały się gołębie.

Nie pochylił czoła... mocował się. Lustrzana odbitka jego życia spowiadała go z win, które znał, lecz do których przyznać się nie chciał. Sądził, że uda mu się oszukać własne sumienie. Nie udało się.

Wciąż patrzy na dach. Patrzy, patrzy... Zwolna zacierają się barwy, nikną... nie widać nic. Na oczach czuje powłokę śliskiej mgły.

Szarpło go coś za rękaw.

— Tato, czy Jantek naprawdę umarł?

Ojciec przetarłszy oczy, nic nie mówiąc — zaczął spoglądać na najmłodszą latorośl. W miarę tego twarz Dumina stawała się coraz gładsza i jaśniejsza. Wkońcu pochwycił czule chłopca za rękę i rzekł doń jakimś dziwnie zmienionym głosem:

— Chodźmy, Wiktorku!

— A gdzie?

— Do mamy.

Chłopiec posmutniał.

— Nie... mama płacze...

— Ale więcej płakać nie będzie!

Wiktorek złapał szybko ojca za rękaw i zaczął ciągnąć z całych sił.

— Chodź tata prędzej!... Ja cię zaprowadzę do mamy. Chodź.

KONIEC.

# Gniazdo pliszek

**przez Selmę Lagerloff.**

Świątobliwy Hatto modlił się na pustyni. A wiatr wył dnia tego, rozwiewał jego długą brodę, włosami po twarzy go smagał.

Lecz Hatto nie odgarnął włosów, spadających mu do oczu, nie przewiązywał brody pasem, bo jego ręce wzniesione były do nieba.

Od świtu trzymał je w górę i chciał je tak dotrzymać do wieczora.

Poznał już złość ludzką. Sam niegdyś dręczył i prześladował, lecz prześladowania i udręczenia, które mu zadali inni, wydały mu się okrutne. Więc usunął się na pustynię, wśród jej piasków wykopał sobie grób za życia. I został świętym. Modlitwy jego wzbijały się wciąż ku Bogu.

Hatto modlił się pod swą pustelnią. Modlił się o rychły dzień sądu nad tą ziemią przeklętą. Wzywał aniołów, aby coprędzej uderzyli w trąby i obwieścili koniec świata. Wzywał potoki, by zalały ludzką nieprawość.

Wzywał zarazę, by zaludniła cmentarz.

Dokoła roztaczała się bezkresna pustynia. Huragan świstał, zawodząc jakby klątwy i miotając groźby nad ziemią; na pustyni rosła wierzba, pokręcona i wstrząsała zielenią gałęzi. Co roku, na jesień, odzierano ją z kory. Co wiosny odradzała się, a wiatr smagał jej gałęzie tak, jak brodę i włosy pustelnika Hattona.

Młoda para pliszek zwykła była wić gniazdo w tych konarach. Lecz dziś nie znajdowała bezpieczeństwa w smaganych wiatrem gałęziach. Ptaszęta przylatywały ze źdźbłami trzciny. Kilkakrotnie musiały z drogi zawracać. I oto nagle ujrzały starego Hattona, w chwili, gdy modlił się o burzę, któraby zmiotła to gniazdo ptasie i przyniosła światu zagładę.

Dzisiejsi ludzie nie mogą sobie nawet wyobrazić, jak ów stary pustelnik był chudy, czarny i kościsty, i jak mało do człowieka podobny. Głowa jego przypominała trupią czaszkę, i tylko oczy płonące świadczyły, że on jeszcze żyje. Ręce jego były jak piszczele, pokryte pomarszczoną żółtą skórą. Miał na sobie stary habit zrudziały. A sam poczerniał od błota, ogorzał na słońcu. Tylko brodę i włosy miał jasne. Deszcz i słońce nadały im taką barwę zieloną i srebrną, jak liściom wierzby.

Ptaki, upatrujące miejsca na gniazdo, wzięły pustelnika Hattona za drugą starą wierzbę. Fruwały dokoła, odlatywały, i przyfruwały znowu. Niezbyt im się podobała ta wierzba — za niska była, za chwiejna, ale za to stała blisko rzeki i trzcin, w których one miały spichrze. Jedna z pliszek, jak strzała, padła na dłoń Hattona i złożyła w niej uszczknięte zdziebełko.

Wiatr zdmuchnął słomkę. Pliszki wróciły znowu i próbowały wić gniazdo między palcami prawej ręki pustelnika. Nagle pierwszy palec wysunął się, spróbował zatrzymać źdźbełko, zgięły się cztery palce, utworzyły zagłębienie, w którem pliszki mogły wznosić swoje domostwo.

A Hatton modlił się dalej:

— O, Panie, gdzie Twój deszcz ognisty, którym zniszczyłeś Sodomę? I kiedyż otworzysz niebieskie upusty, kiedy na ich falach arka Noego wzniesie się aż na szczyt Araratu?

W rozgorączkowanej wyobraźni pustelnika powstawały obrazy Ostatecznego Sądu. Ziemia trzęsła się w posadach, niebo płonęło purpurą, a gdy te widziadła żałobne napełniały jego duszę, oczy jego, mimowoli, biegły za lotem pliszek, które wciąż wracały, a za każdym razem utrwalały mocniej swe gniazdo.

Starzec nie ruszał się, albowiem, chcąc zmusić Stwórcę, by go wysłuchał, zrobił ślub, że modlić się będzie nieruchomo od świtu do zmroku. A w miarę

jak wzrastało jego znużenie, widział coraz straszniejsze obrazy. Słyszał huk walących się gór i trzask zapadających się murów. Przed oczyma jego przesuwały tłumy, uciekające przed pomstą Boską, widział na ognistych rumakach aniołów, smagających te tłumy biczami piorunów.

A tymczasem pliszki budowały bez wytchnienia. Nie brak im było materjałów nad brzegiem rzeki — opasanej trzciną. Nie dały sobie spoczynku, nawet w południe, a nad wieczorem gniazdko było już uwite. A Hatton, śledząc ich robotę, brał w niej udział. Naglił je do pośpiechu, oburzał się, że wiatr im przeszkadza, chciał, żeby skończyły jak najprędzej. I oto słońce zaszło. Pliszki wróciły do swego schronienia na trzcinach.

Nazajutrz, obudziwszy się przed świtem, nie mogły zrozumieć, co się stało. Nadaremnie latały dokoła, nadaremnie bystrem okiem upatrywały wierzby. I gniazdo i drzewo zniknęły. Lecz skoro tylko słońce ukazało się na wschodzie, aliści ich drzewo stanęło na miejscu tem samem, co wczoraj i tak samo na gałęzi spoczywało ich gniazdko. Pliszki zabrały się znowu do roboty, nie zgłębiając przyczyn tego zdumiewającego zjawiska.

Pustelnik Hatton, który odpędzał i przeklinał małe dzieci, Hatto, który wśród pasterzów uchodził za czarownika, ten sam Hatto bał się poruszyć, aby nie spłoszyć małych plisząt. Wiedział, że z rzeczami, na które Bóg zezwala w naturze, dzieje się to samo, co ze zgłoskami ksiąg świętych: każda ma swe znaczenie. I zrozumiał, co znaczy to gniazdko, między jego palcami zwite.

Była to niewątpliwie obietnica Boska, że jeśli on modlić się będzie z rękoma, podniesionemi do góry, aż dopóki pliszki wysiedzą swe małe, to Bóg wysłucha jego prośby i świat zagładzi.

Tego dnia jednak nie nawiedziły go myśli tak ponure, jak zwykle. Zaledwie mógł oderwać oczy od roboty ptasząt. Widział, jak matka wyrwała sobie swoje własne pióro, aby pisklętom było miękko.

Włościanie, którzy się obawiali zawsze złowróżbnych modlitw pustelnika, starali się gniew jego ułagodzić, znosząc mu chleb i mleko. O wego dnia ujrzeli go z rękoma podniesionemi w górę i z gniazdem w dłoni.

— Patrzcie — mówili — jak ten człowiek świątobliwy kocha ptaszęta.

I przestali go się bać i do ust jego podnieśli dzban mleka i łamali chleb i kładli mu do ust kawałkami.

Gdy Hatto zjadł i wypił, odegnał ludzi ostremi słowy; lecz na jego przekleństwa odpowiadali uśmiechem.

Oddawna już jego ciało poszło w służbę woli. — Ujarzmił je biczowaniem i postem, pozbawianiem się snu i ruchu.

Jego żelazne muskuły utrzymywały w naprężeniu ramiona dniami całemi; a gdy pliszka, siedząc na jajach, nie opuszczała gniazda, on nie szedł nawet w nocy do swej nory i wcale się nie kładł, siedząc, z rękoma wyciągniętemi ku niebu.

Niejeden pustelnik umartwiał ciało jeszcze bardziej!

Hatto przyzwyczaił się do tych dwojga ślepiąt, przyglądających mu się z nad gniazdka. Chronił je troskliwie od deszczu i gradu.

I oto pewnego dnia pliszka zerwała się, zatrzepotała skrzydełkami, podfrunęła i złączyła się z samczykiem.

Naradzali się widocznie. Po chwili oboje wyruszyli na żer. W miarę, jak schwytane muchy zapełniały gniazdo, świergot się zwiększał, i stawał się tak głośny, że przeszkadzał pobożnemu pustelnikowi w jego modlitwach.

Powoli, bardzo wolno, jego zesztywniałe ramiona opuściły się na dół. Żarzącemi oczyma wpił się w to gwarne gniazdo.

Nagie ciałka, bez oczu, bez skrzydeł, tylko sześć dziobków rozdziawionych.

Uczuł dla tych szkaradnych piskląt dziwną tkliwość.

I odtąd, błagając Boga o zgładzenie świata, prosił Go, aby z ogólnej zagłady wyłączył te sześcioro niewinnych stworzeń. A gdy wieśniaczki przyniosły mu pożywienie, już im nie dziękował przekleństwami. Rad był, że mu nie dają umierać z głodu, albowiem życie jego bło potrzebne dla piskląt. Wydziobywały mu okruszyny z dłoni.

Niebawem zaczęło się wynurzać z gniazdka sześć łebków. I coraz częściej opadały ramiona pustelnika, a ręce jego zbliżały się do oczu. Przypatrywał się, jak czerwona skóra porastała pierzem, jak zaokrąglały się drobne ciałka.

Modlitwa o zagładę świata stawała się coraz to mniej żarliwa. Dawniej prosił Boga, aby wstrzymał swą karę do chwili, gdy pisklęta się wyklują, teraz prosił, aby świat mógł jeszcze istnieć, gdy one z gniazda wylecą.

Dotychczas Hatto nie posiadał nic na własność. Przywiązanie do tych stworzeń bezbronnych i słabych, zalewając mu serce, napełniało je słodyczą niezmierną. Bronił się przeciw niej. Chwilami chciał całe to gniazdo wrzucić do rzeki.

Czyż może być szczęście większe, jak zginąć, nie zaznawszy nędzy, ni cierpienia.

Lecz gdy tak myślał i rozważał, nad gniazdem zakołował jastrząb. Hatto zdążył zaledwie schwycić drapieżnika ręką lewą i wrzucić go do rzeki.

Wreszcie nadszedł dzień, gdy małe poczęły próbować skrzydeł. Matka popychała je na brzeg gniazdka, ojciec fruwał dokoła, pokazując, jak to łatwo i że trzeba tylko spróbować. Ale pisklęta jeszcze się bały. Rodzice przed ich oczyma rozwijali całą sztukę lotniczą. Zataczali koła, spuszczali się, wzbijali się znowu prosto ku niebu.

Małe wciąż jeszcze były pełne nieufności.

Hatto postanowił dopomóc rodzicom. Popchnął je palcem. I oto frunęły w górę, jeszcze niezgrabnie, nieśmiało, ale już wisiały w obłokach. Nabrały wreszcie otuchy.

Hatto uśmiechnął się na myśl, że i on przyczynił się do tego pierwszego wzlotu.

Uśmiechnął się — pierwszy raz w życiu. Począł się zastanawiać, czy Bóg obietnice spełni?

Może On tę grzeszną ziemię zatrzyma w swej prawicy, jak olbrzymie gniazdo piskląt. I tak je trzymając, pokochał tych, którzy przepełniają one gniazdo? Więc w chwili wyznaczonej zagłady żal Mu ich tak samo, jak pustelnikowi — piskląt?

Zapewne, ptaki warte więcej od ludzi. Lecz Hatto poczynał rozumieć, że Bóg może mieć litość i dla ludzi.

Nazajutrz gniazdo było puste. Gorycz samotności napełniła duszę pustelnika. Ramię jego opadło. Zdało mu się, że cała natura drży w oczekiwaniu sądu ostatecznego.

Lecz w chwili tej oswojone pisklęta usiadły na jego ramionach, na głowie.

I rozjaśniło mu się w sercu.

Wszak obiecał stać nieruchomo. Za tę cenę świat

miał być zgładzony. A przecież codzień opuszczał ramię, aby się przyjrzeć pisklętom.

Że też mu to wcześniej na myśl nie przyszło! I oto teraz, stojąc wśród fruwających dokoła piskląt, pokiwał głową i mówił do Istoty niewidzialnej:

— Zwolniony jesteś z obietnicy. I ja nie dotrzymałem słowa. I ty możesz go nie dotrzymać.

Zdało mu się, że góry przestały się trząść w posadach, że rzeka w sinem łożysku bezpiecznie i radośnie toczy swe wody.

# JESIENNA SZARUGA.

(Opowiadanie Jackowego kuma).

Jesień ci wam jesień kumie z kalendarza tak wypada. . . . Niebo skryły carne chmury i dyscysko z nieba pada. Zrobiła sie chlapawica z pola bucha ino para... Siedź wiec w chałpie bo od pola ci juz wara. Zamiast słuchać śpiewu ptaka drec twe usy wrzaskiem baby, a od poła doleci. nawet cłeka rechot zaby,

W zeszły piątek wybrałem sie (a jesienna była chlapa) na targ z babą do Krzanowa.... Ledwo lazła siwa škapa. ledwo pchał sie po tem błocie z siwą škapą powódkowy. Tak se myśle:

O jarmacku w dniu dzisiejszym bądź mi zdrowy!

W tem sie naprzód wysforował na swym łysku kum Jacenty i przez błoto z psem sie tryndał, jak łokonom, Boże święty. Lec jak chlapa, to juz chlapa, nie pomoze zadna siła. gdy jest mokra, aby droga w tej minucie suchą była.

Wiec po błocie kum Jacenty nie ujechał ani mili, jak my razem: on, ja, baba, do karcemki se zbocyli. I tak jeden ,drugi, trzeci sed kolejką, Panie święty, ze kum Jacek sie upili i ja byłem dobrze ciety.... Wiec na »kurasz« rum z herbatą i znów šnapsik na odmiane, ze nie przestaj, przyjacielu, choćbyś głową bił o ściane. I tak jakoś sie przeciągło do samego gdzieś wiecora, jaz łeb zacął ciezyć, jakby, psiamać, jaka brzydka zmora. Baba wrzescy tez pijana:

Siadaj na wóz głupi chłopie, wiecór idzie, a dysc leje, ze już chyba sie utopie!



Siadłem na wóz, baba takoz, a przy babie kum Jacenty i jechalim, co się zowie, jak po piciu, Panie święty.

Wtem: Hop! w górę, wóz się kręcił, sarpły konie... O la Boga! Toć rów tutaj, Boże odpuść, a nie zadna przecie droga! Spadła baba, stłukła jajka, co

mieć miała za nie centy i ja spadłem tez do rowu i na babę kum Jacenty...

Ja skręciłem ino nogę... Jacek zdar se skórę z nosa. I lezelimy tak w błocie, co go była pełna fosa... Used jakiś cas, nim my się z tego błota pozbierali... Baba klęła i ja kląłem, a kum mało nie płakali, bo niewinnie my cierpieli takie przykre strapacyje... Widać Pan Bóg nas pokarał za grzysyska jakieś cyje... I niech mi tam, kto chce, gada, to nie winien nikt i basta, lec jesienna ta saruga, co dyscyskiem ciągle chlasta.

*Antoni Socha.*



# MACIEK BZDURA GADA:

Było to dawno, bardzo dawno, bo jesce w zesłą niedzielę, jak przyśli do nas krzesnołojciec Matus, siedli se na nalepie, zwiesili kudłatą głowę na piersi i zadumali sie okrutecnie. Mnie, jako ze umię sie litować nawet nad najmikrniejsem stworzeniem, zal sie zrobiło krzesnołojca i padam:

— Cózeście tak ten pełechaty łeb ku ziemi zwiesili, ze go nijak do góry podnieść nie mozecie? Cy sie wam juz tyle tam gadziaństwa nakociło, ze ją ciągną ku ziemi?

A krzesnołojciec na to:

— Dobrze ci gadać, boś jesce młody, więc la starości usanowania ni mas, ale jak ci minie sześćdziesiątka, jako mnie, to nie ino głowa, ale wszyćko ci zwiśnie ku ziemi.

A potem westchli se, jaze sie ława zatrzęsła i tak jęli prawić:

— Hej, hej! miły mój Bozycku!... Nie było to, jak przy cycku!... Cycka dali, wykąpali, wciąz w kołysce kołysali... Jesce śpiwali piosneckę, zebym usnął choć troseckę!...

— Słuśnie — powiadam — bo to sie przecie wie, ze kuzdemu człekowi, cy to mały berbeć, cy juz dorosły śturkac, to przy cycku zawse miło i dobrze. Jakzeby więc i wam krzesnołojcyku nie było dobrze.

— Gupiś — powiadają mi. — Nie tak ja myślę, jako ty, ale przecie wiadomo, ze i twoja prawda. Co tu gadać, Boże drogi! Nie chcom mnie juz nosić nogi... Dawniej, dawniej, Panie święty, tom był w nogach taki cięty, zem nie całe dwa Zdrowaśki milę drogi sed do Kaśki!

— E gnalibyście i dzisiaj, zeby was ino Kaśka kciała, ale te wszyćkie teraźniejse Kaśki to juz takie zatracone nasienie, ze kuzda z nich woli młodsiejsego, choćby sie na zadnem jenteresie nie rozumiał, anizeli cłeka doświadconego na wszyćkie strony.

Pokiwali Matus głową, widać ze jem moje przemówienie do sumienia trafiło i tak, nie chwalący sie, prawili dalej:

— Jakem zacon polke tońcyć, tom za dwa ni móg skońcyć... Abo raz to mnie siandary pół dnia gnali, jak ogary, zem na pańskiem chytał rybki... A ucigem, bom był chybki... Hej mój mocny, Boże miły, kaz som teraz moje siły?... Jagem kogo pięścią śmignął, za godzinę sie nie dźwignął... Dziś sie trzęsę, jak okwiara... Tak sie we mnie plące para... Hej, hej młode casy! Figle, psoty, różne śpasy, pijatyki, rozwięzłości na starość mi wlazły w kości... Rumatyz tez gnoty łupie, ze sie ledwo trzymią w kupie...

Tak narzygali krzesnołojciec, póki byliśmy ino oba w izbie, ale gdy sie przywlekła nasa Kaśka, to jest moja i gospodarzowa, to sie krzesnołojcowi zaraz lzej na sumieniu zrobiło. Pełechata łepeta podniesła sie w górę, nogi sie wyprostowały i zacęły z miejsca przestępować i jakosik Matus całkiem raźniejsi sie zrobili. A gdy Kaśka zblizyła sie jesce bardziej ku nim, zacęli cegosik po portcętach sukać i wyciągnęli z kieseni kawałek cekolady i wepchali jej do garści.

— Tacywyście to! — myślę se — la chłopaków to macie same narzygania, a jak sie jaka taka dziopa zjawi, to zawse sie tam cosik kajsik la niej znajdzie.

I ni ma sie co dziwić! Juzci wam taka jest chłopska natura: kuzden z nich będzie na baby wyćciwiał, będzie na nich psy wisał, jak ich nie widzi. A niech która sie ino do niego przyswenda, to choćby tak urodna była, jak, Boże odpuść, nasa Kaśka, to ją gotów nie ino do serca swojego, ale do całego siebie przycisnąć i nie popuścić, póki sie mu z garści nie wyrwie. Ale ni ma sie cemu dziwić, bo z cego kto powstał, to do tego zawse ciągnie i co mu kto za to zrobi?

## W Adwencie.

O, przybądź do nas, przybądź, wiekowa Tęsknoto,
i zjaw się kochającą nam małą Dzieciną,
a przyniesiem Ci, biedni, nie srebro, ni złoto,
lecz łzy nasze, a oschną łask Twoich godziną.

Wołamy Ciebie dzisiaj, my, drzewa bezlistne
i proch nadrożny, który wichr doli porywa
i sieje po ugorach z pragnień pośmiewiskiem,
z chichotem szyderstw, który do serca nam przywarł.

Tęsknimy dziś za Tobą, jak ziele nad rowem,
targane nogą ludzi i wichrów przelotem,
jak rżysko, drżące w wietrze, zczerniałe i płowe,
jak ślaz zwiędły, za słońcem biegnący na płoty.

My, ptaki, co chcą wzlecieć na skrzydłach obciętych,
wygasłych ognisk ślepe, zszarzałe ogarki,
przy których smutku siada cień wielki, zaśnięty —
wołamy: zejdź nam Gwiazdą i obudź nas z martwych!...

O, przybądź do nas, przybądź, ogromna Tęsknoto,
do tych, co doli jedzą chleb gorzki i płony,
i niebo ku nam nachyl, jako gałąź złotą, —
Dziecino Choinkowa i Królu nad trony!...

*Franciszek Surówka.*

# PODRÓŻ PO DALEKICH KRAJACH.

**Zambeza.**

W południowej Afryce, nad rzeką tej samej nazwy, rozciąga się kraj Zambeza. Zamieszkują tu najrozmaitsze ludy pod swoimi książętami. Na północ od Zambezi jest państwo Barotse-Mambunda. Mambunda, zawojowani przez Barotsów, mieszkają na północy i północnym zachodzie. Barotsowie zamieszkują dolinę rzeki Zambezi i południowe okolice. Na ich czele jest król z przyboczną radą. Jest on najwyższym sędzią i kapłanem, a nadto jedynym kupcem, dzierżącym monopol kupczenia. Stolicą kraju jest Szeszeke przy ujściu rzeki Kaszy do Zambezi.

Na północny wschód od Barotsów mieszkają Maszukulumbe. Na południe od Zambezi państwo Matebelów ze stolicą Gubuluwayo. Matabelowie są spokrewnieni z Zulami.

Chociaż ziemia tamtejsza nadaje się zupełnie do hodowli bydła, to przecież powstrzymuje ją straszna mucha tsetse, która ukąszeniem swem potrafi pozbawić życia to stworzenie. Państwo Matabelów posiada natomiast wiele kruszców, a nadtoi wiele roli, zdolnej pod uprawę zbóż.

Zachodni Betszuanowie albo Bakalahari i wschodni Betszuanowie czyli Basuto rozpadają się na liczne plemiona pod osobnymi naczelnikami. Stolicą jest Kwapong. Na południe jest państwo Steszele ze stolicą Melepole.



Część wodospadów Wiktorja.

Rzeka Zambeza jest jedną z największych rzek afrykańskich i użyźnia i ożywia południową Afrykę. Wypływając z jeziora Dilolo, u stoku góry Lokingi, oddzielającej ją od dorzecza rzeki Kongo, przyjmuje liczne dopływy, z których główniejszym jest Czoba, płynie majestatycznie wśród pasma gór uroczych, pokonywa stawiane sobie przeszkody, przedziera się nieraz wąskim przełomem przez góry i napiętrzone skały, to znowu strąca się niejednokrotnie w przepaść i tworzy wspaniałe wodospady. Między innemi, pomniejszemi, olbrzymi jej wodospad, zwany Wiktorja, blisko dopływu Czoby, największy i najwspanialszy w świecie, jedyny w swoim rodzaju, ogromem swoim i osobliwością budzi powszechne zdumienie i należy bezwątpienia do najokazalszych cudów przyrody. Część tego wodospadu widzimy na naszym obrazku.

Zambeza, już na 2 kilometry szeroka, spada w trzech odrębnych ramionach prostopadle z ogromnym łoskotem i szumem w rozpadlinę 119 metrów głęboką, wznosi nad tą przepaścią do ogromnej wysokości kolumny obłoków wodnych i upływa jednym wąziutkim, ale niesłychanie głębokim korytem aż do miejsca, gdzie znowu w całej pełni roztacza nurty swoje.

Następnie Zambeza, płynąc dalej na wschód, ciągle jeszcze wśród pasma gór, tworzy kilka mniejszych kataraktów, dopływem różnych rzek przybiera coraz to większe rozmiary, kolejno to się zwęża i prawie znika zupełnie, to się znowu wzmaga i szerzy; dalej koło Kebrazy w wąskiem korycie pędzi po pochyłości nadzwyczaj bystrym prądem, raz jeszcze koło miasta Tate przecina górę Lupate, potem już, jakby ostatnią pokonawszy zaporę, spokojnie rozlewa się po nizinie i tu dopiero staje się spławną, tworzy na rozległej, bo prawie na milę szerokiej przestrzeni mnóstwo wysp uroczych, aż wreszcie dzieląc się na kilka ramion, wpływa do oceanu Indyjskiego.

Całą przestrzeń pomiędzy tą rzeką a kolonjami zachodniego wybrzeża zamieszkują ludy murzyńskie, które napierane coraz bardziej przez Europejczyków, cofają się coraz dalej w głąb Afryki.

Nad rzeką Zambezą, jak wogóle w południowej

Afryce, lasów jest niezbyt wiele, ale zato na największych przestrzeniach ścielą się trawiaste stepy. Trawy ich miejscami są tak zbite, że trudno się przez nie przedrzeć, miejscami zaś znów rzadkie. Dochodzą jednak do ogromnej wysokości: do dwu, czterech i nawet sześciu metrów. Zdobią je czasem zrzadka rozrzucone krzewy i drzewa, które okolicy nadają wejrzenie parków. Są to akacje, sykomory, tamaryndy, fikusy, banany, baobab i inne. Wielkie obszary na wyżynach i oazach zajmują palmy, które tu jednak znacznie skromniej występują, niż w Ameryce lub Azji. Najpożyteczniejsze z nich są zarazem i najliczniejsze, jak palma tebańska, palma deleb, palma oliwna, głównie po oazach palma daktylowa, palma kokosowa i inne.

Rzeki wieńczą wąskie pasy lasów, zwanych galeryowemi. Zdala widziane wydają się do nieprzebycia ścianą zieloną. Tymczasem w ścianie tej wiją się krużganki sklepione, zbitemi gałęziami i liśćmi, splątane ljanami, a wsparte na potężnych palach drzew, robią wrażenie świątyń egipskich. Pod wpływem obfitej wilgoci i wysokiego ciepła, dochodzącego do 30 stopni Celsjusza, bujność tych lasów nadzwyczajna, rośliny wydają z siebie tyle aromatu, że krztuszą przechodnia.

Na drugim naszym obrazku widzimy zaiste przepiękny obraz roślinności afykańskiej. Oto pośrodku wznosi się wysmukła palma, a obok niej na prawo olbrzymi fikus, a u stóp ich wyrastają różnorodne kaktusy. Gdy dodamy do tego, że na drzewach tych snują swą pajęczynę olbrzymie pająki, która rozciąga się na 30 do 40 metrów, a tak mocna, że zdoła uwikłać i małe ptaszki, jeżeli dodamy do tego mnóstwo ptactwa, spadającego z góry z szumem, podobnym do gwałtownej burzy, tudzież te miljony pszczół, zbierających wonny miód na tamtejszych miododajnych kwiatach, to ocenimy w całej pełni piękno okolic afrykańskich.



Bujna roślinność Afryki.

W Afryce są bogactwa nieocenione, których jednak krajowcy nie umią należycie wyzyskać, a Europejczycy jeszcze nie dotarli wszędzie, gdyż przeszkadza im w tem nieodpowiedni dla nich klimat.

N. W. GOGOL. Tłomacz. z rosyjskiego J Gazda.

# Zaczarowane miejsce.

(Opowiadanie starego Kozaka).

— Dalibóg! Już mi dokuczyły te opowiadania: bo i co wy myślicie? Już nie do wytrzymania: opowiadaj, i opowiadaj, a odmówić nie można. Więc dobrze, opowiem jeszcze coś, ale już ostatni raz. Otóż wy powiadacie, że człowiek może współdziałać z nieczystym duchem? Prawda! Jeżeli się dobrze zastanowić, to bywają różne na świecie zdarzenia... jednakowoż nie powiadajcie, że: jak zechce djabelska siła zamroczyć, to zamroczy — dalibóg zamroczy!... Otóż na ten przykład: było nas u ojca czworo: ja byłem jeszcze głupi, bo było mi na ten czas zaledwie jedenaście lat... Pamiętam, jak dziś, kiedy jednego razu, puściwszy się na czworakach, zacząłem szczekać, jak pies, a ojciec, widząc to, pokiwał głową i rzekł:

— Ej Foma, Foma! czasby ci już do żeniaczki a ty, jak młody źróbek.

— Dziadek na ten czas jeszcze żył, i w nogach — niech tam ma na tamtym świecie lekką czkawkę — był dość krzepki. Czasami coś go podleci... i gadajże tu człowiecze; kiedy jeden widzę wygrzebuje całą godzinę ogień do fajki, a drugi znowu za czemś poleciał za węgły; przecież ja się nie wpraszałem opowiadać, samí się dopraszali, więc jak słuchać to słuchać.

Batko jeszcze z początkiem wiosny pojechał z tytoniem do Krymu na sprzedaż, ale już nie pamiętam, dwa czy też trzy wozy naładował; tytoń był natenczas drogi. Ze sobą zabrał mojego trzechletniego brata, ażeby go za młodu przyuczyć czumakować, a w domu pozostaliśmy: dziadek, matka, ja, brat, i jeszcze jeden brat. Dziadek zasadził basztak około samej drogi, i przeprowadził się z nami na lato do kurenia, gdzie nas zabrał do odpędzania wróbli i srok z basztaku.

Nie można rzec, ażeby nam tam było źle: bo czasami najadaliśmy się tyle ogórków, dyń, rzepy, i cebuli, że potem w brzuchu dalibóg jakby koguty piały, przytem i inne korzyści były, przejezdni trafiali się często a każdy złakomi się na arbuza, albo

na dynię, a i ze sąsiednich hutorów często nanosili wzamian: kur, jaj, indyków. Życie było jednem słowem pyszne.

Jednak dla dziadka było więcej zajmującem to, że każdy dzień przejeżdżało około pięćdziesiąt wozów, czumaków. Naród to, wiecie, wszędzie bywały: zaczną opowiadać to proszę tylko siadać i słuchać. A dla dziadka to właśnie tyle, co dla głodnego kluski. Czasami zdarzyło się, że zjechali starzy znajomi, a dziadka prawie, że każdy znał; więc możecie sobie przedstawić, jak to wtenczas bywa, kiedy się zbiorą starzy znajomi: gadu, gadu, wtedy to, a wtedy to, tak to, a tak to bywało... No i rozbają się! Jednem słowem przypomną Bóg wie jakie czasy.

Raz — ot tak prawie jakby dziś, słońce już zaczynało się chylić, dziadek chodził po basztaku i zdejmował z kawonów liście, któremi ich na dzień nakrywał, ażeby ich słońce nie przypiekało.

— Patrzno Ostap — mówię do brata — czumaki jadą!

— Gdzie te czumaki? — zapytał dziadek, kładąc znak na dużej dyni, ażeby jej chłopcy czasem nie zjedli.

Drogą toczyło się sześć wozów. W przedzie kroczył stary czumak, już z posiwiałemi wąsami, i nie doszedłszy kroków — jakby wam rzec? — może z dziesięć, zatrzymał się.

— Jak się masz Maksym! Gdzie to Bóg zdarzył spotkanie!

Dziadek wybałuszczył oczy.

— A! witajże! witaj, a skądże to ciebie Bóg niesie? I Bolączka tu? Jak się masz towarzyszu! Kiż djabli taż wszyscy: i Krutotriszczenko, i Poczerycia, i Kowielek, i Stećko, witajcie! a, jej!

Więc dalejże się całować.

Wyprzęgli woły, i puścili je na trawę, wozy zostawili na drodze, a sami siedli przed kureniem i zapalili fajki. Ale gdzież tu do fajek. Więc do bajek, do opowiadanek, z których ledwo po jednej dla każdego starczyło czasu.

W południe zaczął dziadek ugaszczać gości dyniami. Więc każdy brał po jednej, oczyściwszy dokładnie nożykiem przetknął palcem dziurkę, wypił sok, a potem krajał po kawałku i kładł w usta.

— Cóż wy chłopcy — rzekł dziadek — rozdziawili gęby? Tańczyć sobacze dzieci! Ostap! gdzie twoja fujarka? No dalejże tańczyć kozaka! Foma bierzże się za boki! Dalej! ot tak! hej! hop!

Ja natenczas byłem mały i krzepki. — Ha! starość przeklęta! teraz już nie potrafię jak niegdyś; bo zamiast wykrętasów, tylko się nogi plączą.

Długo dziadek patrzył na nas tańczących, siedząc z czumakami. Naraz zauważyłem, że nogi dziadka zaczynają przebierać, jakby je kto pociągał.

— Patrzno Foma — rzekł Ostap — jeśli stary grzyb nie ruszy do tańca.

— A co wy wyślicie — rzekł dziadek, i nie wytrzymał staruszek — zachciało się, wiecie, pochwalić staremu przed czumakami.

— O wy czarcie dzieci! To się tak tańczy? Otóż tak się ma tańczyć. — Rzekłszy to, podniósł się na nogi, roztoczył ręce, i uderzył obcasami.

Ale co tu dużo gadać, tańczył ci on, tańczył, jakby z jaką hetmanową, więc usunęliśmy się na stronę, a stary chrzan wywijał nogami po pustem



Wywijał nogami po pustem miejscu.

miejscu, które było wolne między ogórkami. Ale co dojdzie do pewnego miejsca, chcąc rozpędzić się, i wywinąć nogami na wiatr jakąś swoją taneczną sztukę — w tem ani rusz dalej! Ki djabeł! Rozpędził się nanowo, doszedł do połowy — i ani rusz dalej. Rób, co chcesz — dalej nie ruszy i już. Nogi ni stąd, ni zowąd zrobiły się jak koły.

— Patrzcie, co za djabelskie miejsce, szatańska sprawka! Zachciało się znowu wmieszać wrogowi ludzkiego rodzaju. Tyle wstydu narobić sobie przed czumakami.

Puścił się więc nanowo i zaczął tupać drobno nogami, że miło było patrzeć na to, ale znowu tylko do połowy — nie dokończył i już!

— O szelmowski szatanie! Żebyś się ty zgniłą dynią udławił! Żebyś był jeszcze młodym zdechł, sobaczy synu! Ot na starość narobił takiego wstydu, i to jeszcze jakiego!...

Wtem ktoś się w tyle zaśmiał.

Obejrzawszy się: ani basztaka, ani czumaków, nic przed sobą, nic w tyle, ani z boków, wszędzie puste miejsce.

O... ot i masz tobie!...

Zaczął się rozglądać — miejsce całkiem nieznane: z jednej strony las, za lasem daleko na niebie widniała jakaś żerdź. Co za przepaść! przecież to gołębnik u popa w ogrodzie. Z drugiej strony także coś szarzeje; patrzy — gumno gminnego pisarza. Ot! gdzie to zataszczyła nieczysta siła. Popatrzywszy tam i siam, natrafił na drogę. Księżyca nie było widać; jednak blada plamka przebijała się przez chmury.

— Zanosi się na jutro na duży wiatr — pomyślał.

Wtem patrzy — z boku drogi na kopczyku zabłysło światełko.

— Co to!

Przystanął dziadek, ujął się rękami pod boki, i patrzy: światełko zgasło, a w dali zabłysło drugie.

— Skarb! — krzyknął dziadek. — Jestem gotów założyć się, nie wiem o co, jeżeli to nie skarb.

I już plunął w garści, chcąc kopać; lecz spostrzegł, że niema przy sobie ani łopaty ani kilofa.

— Co za szkoda! — Ale kto wie — może wystarczy tylko podnieść darń i już gołąbek na wierzchu! Zresztą narazie niema co robić, naznaczę, ażeby nie zapomnieć tego miejsca.

Przyciągnąwszy dużą gałąź złamaną wiatrem, położył ją na kopczyk, gdzie błyszczało światełko,

i poszedł drogą. Młody las dębowy zaczął rzednąć; wyłonił się płot.

— Ano tak! nie mówiłem ja — pomyślał sobie — że to pole popa? Otóż i płot jego! Teraz już niecała wiorsta będzie do basztaku.

Już było dość późno, kiedy przyszedł do domu, i nawet gałuszek nie chciał jeść, rozbudziwszy mojego brata Ostapa, zapytał, jak dawno odjechali czumaki i nakrył się kożuchem.

Wtem zapytał go Ostap:

— A gdzież to was dziadku dziś djabli nosili?

— Nie pytaj — odrzekł dziadek, naciągając kożuch — nie pytaj Ostapie, bo jeszcze posiwiejesz.

I zachrapał dziadek tak, że aże wróble siedzące na basztaku wystraszył.

Na drugi dzień ledwo zaczęło świtać na dworze, dziadek wdział świtkę, opasał się, wziął łopatę pod pachę i kilof, nadział na głowę czapkę, następnie wypił garnek kwasu chlebowego, utarłszy połą świtki wąsy, poszedł w kierunku ogrodu popa. Minął płot i młody dębowy lasek. Między drzewiną natknął się na ścieżkę, która zdawała mu się znaną. Wyszedł na pole — miejsce prawie to samo co i wczoraj: ot i gołębnik sterczy tensam, ale gumna nie widać.

Przecież to nie to miejsce, ono powinno być dalej, trzebaby, zdaje się, popatrzeć za gumnem. Zawrócił w inną stronę i zaczął iść inną ścieżyną — gumno widać, ale gołębnika nie! Znowu zawrócił w stronę gołębnika — gumno się skryło. Tymczasem jak na złość zaczął kropić deszcz. Podszedł nanowo ku gumnu — gołębnik przepadł; do gołębnika, gumno znikło.

— Żebyś ty przeklęty szatanie nie doczekał się swoich dzieci.

A deszcz puścił się jak z cebra. Zdjął nowe buty, zawinął do chustki, i zarzucił na ramię, żeby się nie pokurczyły od mokra, i sunął takim galopem jak dworski wyścigowiec. Przemoknięty do nitki, wlazł do kurenia, przykrył się tułupem i zaczął warczeć coś przez zęby, przyzywał djabła i to takiemi słowami, jakich ja nigdy nie słyszałem w życiu.

Na drugi dzień, zbudziwszy się, patrzę: dziadek chodzi po basztaku, jakby nigdy nic i przykrywa arbuzy liśćmi łopucha. Przy obiedzie dziadek rozgadał się. Zaczął młodszego brata straszyć, że mu zamieni kradzione arbuzy na kury, a poobiadowszy, zrobił nam piszczałkę i nawet zaczął na niej grać, a potem dał nam dynię do zabawy, która była zwinięta trzy razy na kształt węża i którą dziadek nazywał turecką. Teraz takich dyń nigdzie nie widzę, prawda, że nasienie na te dynie dostał od kogoś z daleka.

Wieczorem dziadek, posiliwszy się, poszedł za łopatą, chcąc przekopać nową grządkę pod późne dynie. Przechodząc przez owo zaczarowane miejsce, nie wytrzymał, ażeby nie zawarczeć przez zęby:

— Przeklęte miejsce!

Wszedłszy na środek, gdzie przedwczoraj nie dokończył tańca i uderzył całą siłą łopatą w to miejsce. Patrzy: a tu z basztaka ani śladu, lecz czyste pole, z jednej strony sterczy gołębnik a z drugiej gumno.

— Jak to dobrze, że wziąłem ze sobą łopatę. A, ot! i ścieżka, ot i kopczyk gałęzią nakryty! A i światełko błyszczy! Żeby tylko nie omylić się.

Podniósłszy łopatę do góry, podbiegł ostrożnie, jak gdyby chciał nią poczęstować wieprza, który się zakradł do basztaku, i zatrzymał się przed kopczykiem. Światełko zgasło: na kopczyku leżał kamień porosły trawą.

— Trzebaby ten kamień zepchnąć — pomyślał dziadek i zaczął go w koło obkopywać.

Wielki przeklęty kamień! Jednakowoż zaparłszy się dobrze obydwoma nogami w ziemię, zrzucił go z kopca.

— Uh! — poszedł w przepaść! Tam tobie droga — teraz robota pójdzie raźniej.

Teraz dziadek, dostawszy rożek z tabaką, nasypał tabaki na dłoń, i miał podnieść rękę do nosa, aż tu w tem „A kich!“ rozległo się tak głośno, że drzewa zaszumiały, jakby od wiatru, a dziadkowi obryzgało całą twarz.

— Odwróciłbyś się przynajmniej na bok kiedy masz kichać — rzekł dziadek, ocierając sobie oczy.

Obejrzał się — nikogo nie widać.

— Jak widać, nie lubi djabeł tabaki! — ciągnął dziadek dalej, chowając rożek za pazuchę i biorąc za łopatę — ale głupi djabeł, takiej tabaki napewno ani jego dziadek, ani ojciec nigdy nie wąchali.

Zaczął kopać, ziemia miękka, łopata lezie lekko w ziemię. O, coś brzękło. Wyrzucając ziemię, zobaczył kocioł.

— A gołąbku! ty tu! — krzyknął, podsuwając pod niego łopatę.

— A gołąbku! to ty tu! — zapiszczał ptasi dziób dzióbnąwszy w kocieł.

Dziadek odsunął się nieco na bok, i wypuścił z ręki łopatę.

— A gołąbku! to ty tu! — zabeczała barania głowa z gałęzi drzewa.

— A gołąbku! to ty tu — zaryczał niedźwiedź, wysuwając zza drzewa swe ryło.

Dreszcz przeszedł po skórze dziadka.

— Ale tu straszno — zamruczał do siebie.

— Tu straszno — zapiszczał ptasi dziób.

— Tu straszno — zabeczała barania głowa.

— Tu straszno — zaryczał niedźwiedź.

— Och! — jęknął dziadek i przestraszył się swego głosu.

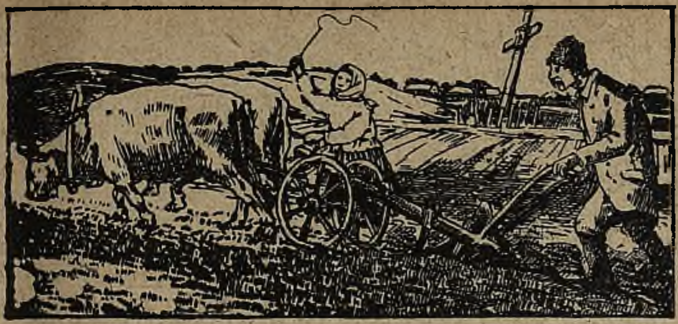
(Ciąg dalszy nastąpi).

**Jużbym nic nie mówił..**



Jużbym nic nie mówił,
Czekałbym z otuchą,
Gdyby jesień w duszy
Nie jęczała głucho.
 Ale jesień płacze
 I mnie płakać każe,
 Wskazuje na marzeń
 Młodości cmentarze.
Powiada, żem głupi,
Bom od szczęścia stronił,
Dziś miast berła... — laskę
Żebraczą mam w dłoni!...
 Mówi mi, żem głupi,
 Jako mało który,
 Bo nie porzuciłem
 Mej krainy — góry!
Jeno pozostałem
Wśród wierchów Beskidu
Pokochałem nędzę,
Zawarł przyjaźń z biedą...
 Jużbym nic nie mówił!
 Tak mnie nie zrozumiał!...
 ...Tylko, han te smreki
 Tak żałośnie szumią!...
Mamże dziś być głuchym
Na to drzew szaleństwo?...
...Te smreki dziś moje —
Jedyne rodzeństwo!...

*Jacek Orlik.*



# Poradnik gospodarczy.

**Pamiętajcie o zwierzynie.**

Wkrótce zawieją zimne wichry na polach i w lasach zniszczą to, co jeszcze pozostało, ostatnie trawki i zioła. A dla zwierząt żyjących na wolności zaczyna się czas głodu i niebezpieczeństwa, bo oprócz braku żywności grożą im jeszcze zimno i zwierzęta drapieżne.

Gdy w dawniejszych czasach nie wyzyskiwał rolnik każdego kawałka ziemi, nie cierpiała zwierzyna głodu tak jak dzisiaj, gdzie wszystko jest zaorane i korzyść przynosić musi. Na ugorach rosły rozmaite dzikie kwiaty i rośliny, które dawały zwierzynie zimą pożywienie i nawet schronienie. Ale rolnicy zabrali im jedno i drugie i utrudniają im życie w rozmaity sposób. Pamiętać jednak powinni, że korzyści te nakładają też na nich pewne obowiązki, z których pierwszym jest ten, aby w zimie, gdy zwierzęta nie mają co jeść, dać im potrzebną żywność, tem więcej, że im się to znowu opłaci hojnie. Bez ludzkiej pomocy nie mogłaby zwierzyna istnieć w dzisiejszych warunkach. Rolnicy, nie będący myśliwymi, twierdzą, że żywienie zwierzyny w zimie jest obowiązkiem dzierżawcy polowania lub jego właściciela, oni bowiem mają korzyść, połączoną z przyjemnością.

Właściciel polowania nie ogląda się też pewnie za obcą pomocą, inaczej jednak ma się rzecz na terytorjum wydzierżawionem. Tu powinien, oprócz dzierżawcy, i sam właściciel pola dbać o dobro zwierzyny, im więcej bowiem jest zwierzyny, tem więcej może żądać za polowanie. Więc i tu opłaci się dawać zwierzynie w zimie żywność i schronienie.

Nie można jednak żądać od gospodarzy, nie trudniących się polowaniem, aby stale żywili zwierzynę, a przecież mogą dbać o nią, nie wydając ani grosza na to.

W podwórzu i na polu znajdują się liczne odpadki — w gospodarstwie nie można ich zużyć, lecz zwierzyna chętnie się niemi pożywia w zimie.

W pierwszej linji są wyrosłe buraki. Cukrownie zakazały pod karą dostawu wyrosłych buraków, bydło w oborze nie chce ich również, a w kopcach pomiędzy strużynami i liściem, nie trzymają się wcale. Nieużyte leżą na polu tak długo, aż się je pod ziemię jeszcze przed zimą zaorze.

Takie buraki można doskonale zużyć dla zwierzyny, zostawiając je przez zimę na polu. Sarny, zające i króliki ogryzają łykowate buraki aż do łodygi.

Najlepiej zbierać buraki w większe kupki — buraki do środka, tak, aby łodygi tworzyły ochronę od mrozu i śniegu. Gdy śnieg pada, są korzenie suche, a zwierzyna znajdzie je łatwo; odgrzebując kopytkami śnieg i torując sobie do buraków drogę.

Dla bażantów i innych ptaków niema lepszej żywności jak pośląd z pod młockarni, zawiera on bowiem miljony ziarnek wszelkiego gatunku zielska, które ptaki wolą więcej, niż czyste ziarnka zboża. Oprócz tego są w poślądzie i liche ziarnka zboża. Nie jest to wielkim dla gospodarza trudem zebrać ten pośląd i schować go na zimę. Potrzeba tylko zsypać pośląd na wysoką kupę, nakryć ziemią, a gdy zimą śnieg pada, wywieźć go jako nawóz na łąki.

Niewyrosłe albo nadpsute główki kapusty znajdują się na każdym zagonie; zamiast je zaorać lub w inny zniszczyć sposób, odrzucać je na stronę na zaorane już pole, lepiej zaś jeszcze korzenie worać lekko.

Takiemi drobnostkami można niejedno zwierzę uchronić w zimie od śmierci głodowej.

**Nagłe wymieranie młodych królików**

jest dla hodowcy wielką stratą, przeciw której niema właściwie żadnej rady. Głównym powodem jest niewątpliwie nieodpowiednie pożywienie — tam więc gdzie się taka zaraza pokazuje, trzeba natychmiast przestać dawać im trawę, koniczynę i liście kapuściane, a za to paść je dobrem sianem, owsem, białą ćwikłą i chlebem rozmoczonym w mleku. Uważać przytem, aby w chlewach jaknajwiększy panował porządek pod względem schludności.

**Choroby skrzydeł u gołębi.**

Początkujący hodowcy gołębi narzekają dość często na chorobę skrzydeł u ptaków. Właściwie specjalnej choroby skrzydeł niema. Zwieszanie skrzydeł, paraliż i t. p., są to najczęściej wyniki innych chorób. Źle odżywiany, anemiczny gołąb zwiesza skrzydła wskutek osłabienia. W tym wypadku najpierw należy wzmocnić odżywianie. M. Trybulski radzi dawać bardzo suchy, zupełnie dojrzały, żółty, a nie zielonkawy groch, proso, sporo siemienia konopnego oraz kapsułki tranowe, a do wody dodawać trochę wody wapiennej. Jeśli skrzydła w stawach puchną, zaleca się, prócz wyżej wymienionego pożywienia, smarowanie opuchniętych miejsc jodyną z wazeliną.

Leczony gołąb powinien znajdować się w pomieszczeniu słonecznem.

# Poradnik lekarski.

**Przeziębienie.** Przyczyną przeziębienia jest nagła zmiana temperatury, n. p. jeśli wyjdziemy z bardzo rozgrzanego mieszkania lub zdejmiemy futro, przyszedłszy do mieszkania chłodnego i siądziemy nieruchomo. Przeważnie główną przyczyną przeziębień, zapaleń i różnych chorób chronicznych, jest nadmierne ogrzewanie mieszkań, zwłaszcza urzędów, wagonów kolejowych. Mieszkania w porze zimowej należy miernie ogrzewać i to wszystkie części jednakowo, ponieważ przejście z ogrzanej do zimnej powoduje niemal zawsze przeziębienie i conajmniej katar.

Leczenie: Gdy się tylko dostaje dreszcze, należy położyć się do łóżka i pobudzić poty, pijąc obficie kwiat lipowy, bzowy lub rumianek.

**Postrzał** (bóle krzyżów). Przyczyny: Nagły wysiłek lub przeziębienie. Leczenie: Ciepłe okłady pilnie zmieniać przez kilka godzin, suche bańki, smarowanie spirytusem mrówkowym z apteki, pić herbatkę z bzu, lipy, jałowca.

# KRONIKA.

**Nowy rząd polski.** Rząd Marszałka Piłsudskiego ustąpił w zeszłym tygodniu. Na jego miejsce Pan Prezydent Rzeczypospolitej zamianował nowy rząd, na którego czele stanął poseł Walery Sławek. Zastępcą premjera został zamianowany poseł Bronisław Pieracki. Z dawnych ministrów pozostali w gabinecie pp.: Minister spraw wewnętrznych gen. Składkowski, minister spraw zagranicznych August Zaleski, minister spraw wojskowych Marszałek Józef Piłsudski, minister oświaty Dr. Sławomir Czerwiński, minister rolnictwa Dr. Leon Janta-Połczyński, dalej Aleksander Prystor, jako minister przemysłu i handlu, minister komunikacji Alfons Kuehn, minister poczt i telegrafów Ignacy Boerner i minister skarbu Ignacy Matuszewski. Nowo mianowani zostali pp. Czesław Michałowski ministrem sprawiedliwości, generał Mieczysław Norwid-Neugebauer ministrem robót publicznych, Dr. Stefan Hubicki ministrem pracy i opieki społecznej i Dr. Leon Kozłowski ministrem reform rolnych. Jak z powyższego wynika, w poprzednim rządzie nastąpiło tylko kilka zmian osobowych, wskutek czego jednak kierunek polityki nie zmieni się zupełnie.

**Zwołanie Sejmu i Senatu.** Dekretem Pana Prezydenta Rzeczypospolitej zostały zwołane na dzień 9 bm. to jest na wtorek Sejm i Senat Rzeczypospolitej oraz Sejm śląski. Prawdopodobnie marszałkiem Sejmu zostanie b. prezydent ministrów Dr Kazimierz Świtalski, zaś marszałkiem Senatu sen. Raczkiewicz obecny wojewoda wileński. Trzech wicemarszałków wyznaczy z swego grona Bezp. Blok współpracy z rządem, zaś dwóch opozycja.

**Nowe pięciozłotówki.** W dniach najbliższych puszczone zostaną w obieg nowe srebrne 5 złotówki, celem upamiętnienia setnej rocznicy powstania listopadowego. Nowe 5 złotówki różnić się będą od dotychczasowych zupełną zmianą rysunku. Po jednej stronie figurować będzie godło państwowe orzeł, z napisem „5 złotych 1930“. Po drugiej stronie umieszczony będzie w bardzo estetycznej formie rysunek, wyobrażający sztandar pułkowy z napisem „Honor i Ojczyzna“. U dołu zaś widnieje napis „1830 1930, w setną rocznicę Powstania“. Nowe monety kursować będą narówni z dotychczasowemi 5-złotówkami srebrnemi.

**Zbrodnia w lesie.** Kazimierz Pawlik i Jakób Bartnicki, obaj zamieszkali w Marcyporębie (pow. Wadowice) postanowili zamordować z zemsty Marcina Juchę, leśnego. W tym celu ukryli się na skraju lasu a widząc nadchodzącego mężczyznę, oddali do niego kilka strzałów ze strzelby. Jak się później ze zgrozą przekonali zaszła tu pomyłka, gdyż ciężko postrzelili nie leśnego Juchę, ale przygodnego przechodnia, Wincentego Szydłowskiego. Rannego przewieziono do szpitala w Krakowie.

**Bunt więźniów w Przemyślu.** W trzech celach aresztu sądu okręgowego w Przemyślu, położonego w Rynku, wybuchł w ubiegłym tygodniu bunt. Aresztowani w liczbie 46, przeważnie więźniowie polityczni, komuniści i Ukraińcy, wśród hałasu i krzyków poczęli dobijać się do wyjścia, waląc stołkami i ławkami w drzwi i szarpiąc szyby okienne. Wezwana pomoc policyjna, a w szczególności straż pożarna wkrótce bunt uśmierzyła. Do cel najbardziej wzburzonych puszczono silny strumień wody z sikawki motorowej, poczem po kilku minutach oporni zaprzestali hałasów. Również i w dwóch dalszych celach nastąpiło uspokojenie. Najbardziej opornych porozsadzano w pojedynczych celach. Dochodzenia nad ustaleniem powodów buntu prowadzą organa sądowe. Najprawdopodobniej przyczyną buntu był wyznaczony proces przeciwko Cyli Kol, Mikołajowi Lewandowskiemu i Leonowi Zminko, oskarżonym o zbrodnię zdrady stanu przez szerzenie haseł komunistycznych wśród wojska. Bunt był niejako protestem przeciwko procesowi. Sprawa wywołała wielkie wrażenie w całem mieście. Silnie skonsygnowana policja wraz ze strażą więzienną strzegła wejścia przed bramą więzienną.

**Śmierć w płomieniach.** Przed kilku dniami wybuchł pożar w stajni Jana Borka zamieszkałego w Starym Sączu, Tłoki, ul. Radziecka 578. Pożar powstał wskutek pozostawienia w stajni na podłodze palącej się świecy przez parobka Wojciecha Burkaża z Dąbrówki Polskiej, pow. Nowy Sącz. Od świecy zapaliła się słoma w stajni, następnie ogień przedostał się na strych, objął dach stajni i dach budynku mieszkalnego. Pożar zniszczył obydwa dachy kryte dachówką. Ogólna szkoda wynosi 4 000 zł. Podczas pożaru został poparzony po rękach, twarzy i plecach Piotr Smaga (lat 65) emeryt urzędu skarbowego, który w tym czasie spał na strychu. Smaga, odwieziony natychmiast do szpitala w Nowym Sączu, wskutek odniesionych poparzeń zmarł na trzeci dzień.

**Samobójstwo porucznika.** Obok dworca głównego we Lwowie strzelił do siebie w skroń porucznik 6 pułku lotniczego Jerzy Czechowicz. Wkrótce po przewiezieniu do szpitala zmarł. Przyczyny samobójstwa na razie nie ustalono.

**Tragiczny wypadek robotnika.** W ubiegłym tygodniu wydarzył się we Lwowie tragiczny wypadek, który zakończył się śmiercią robotnika. Do jednej z firm handlowych przy ul. Akademickiej przywieziono transport wina w dużych beczkach. 18 letni robotnik Fedyszyn sam staczał beczki z wozów, a następnie jedną z beczek, wagi około 100 kg. usiłował spuścić po schodach do piwnicy w ten sposób, że sam był na przedzie, beczkę zaś podtrzymywał za sobą z tyłu. Nagle Fedyszyn potknął się i upadł, beczka zaś stoczyła się po nim, przygniatając go swoim ciężarem. Wszelka pomoc okazała się bezskuteczna i Fedyszyn wskutek odniesionych ran wewnętrznych zmarł.

**Obłąkany zabójca.** W niedzielę do mieszkania dozorcy domu przy ul. Sierpowej 14 we Lwowie wpadł jakiś mężczyzna, prosząc o ukrycie go przed rzekomymi prześladowcami. Dozorca odmówił, wówczas nieznajomy wyciągnął rewolwer. Strzał ugodził dozorcę w brzuch. Rana okazała się śmiertelną. Z przeprowadzonych dochodzeń wynika, iż czynu tego dopuścił się niejaki Łącki, urzędnik Izby skarbowej, zdradzający od kilku tygodni objawy pomieszania zmysłów. Oddano go do zakładu dla umysłowo chorych celem poddania badaniom lekarskim.

**Morderstwo obok Złoczowa.** W ubiegłą niedzielę w nocy został zamordowany Semko Leśków, lat 37, rolnik z Remizowiec, pow. Złoczów w chwili, gdy chciał przytrzymać dwóch sprawców kradzieży w obrębie swojego gospodarstwa. Po przeprowadzonych dochodzeniach wydział śledczy w Złoczowie aresztował jako sprawców Jana Perkałę, lat 27, kilkakrotnie karanego za kradzież, pozostającego obecnie w śledztwie za usiłowane morderstwo, oraz Jana Hajdarę, zwanego Budka, lat 27, karanego za kradzież, obaj z Remizowiec, pow. Złoczów, których wraz z doniesieniem przekazano sędziemu śledczemu w Złoczowie. Wymienieni krytycznej nocy dokonali kradzieży u Smereki Hryńka w Remizowcach, sąsiada Leśkowa, poczem uciekali z łupem obok domu Leśkowa w towarzystwie jeszcze dwóch nieustalonych narazie osobników. Uciekających zauważył przez okno ś. p. Leśków, wybiegł z mieszkania i począł ich ścigać.

Ścigani złodzieje porzucili łup koło domu śp. Leśkowa, sami zaś uciekli w pole. Leśków za wszelką cenę chciał ująć uciekających sprawców, wówczas Perkało strzelił do niego z karabinu, kładąc go trupem na miejscu.

**Skrucha na łożu śmierci.** Jeszcze w nocy z 20 na 21 kwietnia 1909 r. zostało dokonane morderstwo na osobie Atanazego Jakiwczuka vel Sokołowskiego z Filipkowiec pow. Borszczów. O morderstwo to byli silnie podejrzani Józef i Mikołaj Jakiwczucy z Filipkowiec, których wówczas austrjacka żandarmerja aresztowała, ale sąd z powodu braku dowodów winy obu uwolnił. Dnia 3 grudnia 1928 Onufry Jakiwczuk, spowiadając się przed śmiercią, zeznał przy świadkach, że Atanazego zamordował on wspólnie ze swym bratem Józefem. Czynu tego dokonali dlatego, ponieważ Atanazy Jakiwczuk, który pilnował folwarku, złapał ich na kradzieży owsa, i nie chciał od nich przyjąć 4 korony za ułatwienie kradzieży. Wówczas Józef Jakiwczuk udusił go, poczem zawinięto mu głowę „sierakiem“ i tak wrzucono go do rzeki. Po złożeniu tego zeznania Onufry Jakiwczuk w kilka godzin później zmarł. Drugi sprawca tego mordu Józef Jakiwczuk na kilka miesięcy przed tem wyjechał. Dopiero obecnie na skutek rozpisanych listów gończych Józef Jakiwczuk został ujęty i oddany do sądu w Mielnicy.

**Agitator komunistyczny pod pierzyną.** W powiecie tarnopolskim, gmina Czystyłów miała zaszczyt gościć niedawno apostoła komunizmu, w osobie niejakiego Mikołaja Zamkowego, ściganego przez policję za kolportaż odezw komunistycznych. Zamkowy poza agitacją, w wolnych chwilach, zalecał się do córki zastępcy wójta, Wasyla Pobusza, którzy go przechowywali w swoim domu. Krytycznego dnia na zapytanie policji, czy niema u nich Zamkowego, piękna wójtówna odpowiedziała wymijająco, wskazując fałszywy kierunek drogi, którą miał się udać Zamkowy. Ale czujny policjant na wszelki wypadek zajrzał do alkowy i z pod pierzyny wygrzebał apostoła miłości komunistycznej. Ta nieudała zabawa w chowanego wywołała w Czystyłowie i okolicy nadzwyczajną wesołość, której smutny epilog zakończy się w sądzie.

**Zasypany gliną.** Tragiczny wypadek, któremu uległ Stanisław Tryszko, liczący lat 64, wydarzył się w Podbużu, powiecie drohobyckim. Do naprawy swej uszkodzonej chałupy Tryszko potrzebował nieco gliny. Począł ją wydobywać z głębokiego dołu, leżącego opodal jego domu. W toku tej pracy, gdy Tryszko znajdował się na dnie, górna warstwa ziemi obsunęła się i pogrzebała żywcem nieszczęśliwego. Po wydobyciu Tryszko już nie żył.

**Strajk robotników w Borysławiu.** W kopalni nafty holendersko-polskiej w Borysławiu wybuchł strajk na tle niewypłacenia robotnikom zaległych poborów.

**Dzieci sprawcami pożaru.** W gminie Kniaziołuka, pow. Dolina, wybuchł onegdaj pożar, którego pastwą padło 15 gospodarstw. Gospodarstwa te spłonęły doszczętnie. Pożar spowodowały dzieci, które bawiły się zapałkami. Szkoda wynosi około 72.000 zł.

**Skarga przeciw skarbowi państwa.** Zamieszkała w Londynie hr. Natalja Brassow, morganatyczna wdowa po zamordowanym przez bolszewików wielkim księciu Michale Aleksandrowiczu, bracie cesarza Mikołaja II, wystąpiła do wydziału cywilnego Sądu okręgowego w Częstochowie o przyznanie jej prawa ubogich w sprawie, jaką w imieniu swojem i syna swego Jerzego zamierza wytoczyć przeciwko skarbowi państwa polskiego o zwrot kamienicy dochodowej w Częstochowie, obecnie zajmowanej przez wojskowość, oraz majątków Zagórze, Kocin i innych. położonych w pow. częstochowskim. Wartość powództwa wyniesie kilka miljonów złotych.

**Kobieta nożownikiem.** Plac Trzech Krzyży w Warszawie był widownią krwawej zbrodni, której sprawcą była kobieta. Oto w chwili, gdy 22 letni Bolesław Dąbrowski, szofer, wraz z kolegami wyszedł z restauracji „Muza“ przy ul. Mokotowskiej i skierował się w stronę placu Trzech Krzyży, na rogu ulicy Hożej podbiegła do niego jakaś młoda kobieta. W powietrzu błysnął nóż, rozległ się krzyk i Dąbrowski, broczący krwią, padł na ziemię. Wezwano pogotowie; policjant pogonił za kobietą, którą wkrótce ujął. Dąbrowski zmarł przed przybyciem lekarza. Zbrodniarka, nazwiskiem Zofja Krasnodębska, lat 22, odmówiła zeznań. Zabójczynię osadzono w więzieniu.

**Zastrzelony przez pomyłkę.** Z Poznania donoszą: Dwudziestosześcioletni student wydziału rolniczoleśnego Uniwersytetu, Witold Andre, wracając w nocy około godz. 3 do swego mieszkania, omyłkowo skierował się o piętro niżej do mieszkania kupca Mieczysława Wejmana. Wejman, obudzony szmerem klucza w zamku i sygnałami dzwonkowymi, sądził, że do jego mieszkania usiłowano dokonać włamania. Strzelił trzykrotnie, trafiając Andrego w brzuch. Mimo zabiegów lekarskich Andre zmarł.

**Wykrycie strasznej zbrodni.** W Równem znaleziono na torze kolejowym w papierze kości ludzkie i głowę kobiecą z włosami. Władze w toku śledztwa aresztowały Wacława Trejko jako podejrzanego o popełnienie zbrodni morderstwa. Trejko z początku wypierał się winy, jednak wkrótce zeznał, że to on dokonał morderstwa na tle erotycznem na osobie Marji Otomańskiej.

**Pożar w szpitalu.** W Wilnie w szpitalu na Antokolu na oddziale chirurgicznym z niewiadomej przyczyny wybuchł pożar. Zapaliły się zapasy waty i opatrunków. Dym gryzący zapełnił salę i chorzy poczęli się niepokoić. Lekarz uspokoił chorych, a służba zdołała ogień ugasić.

**Napad rabunkowy bandytów.** Na szosie Kolno-Grajewo na jadących furmanką Bronisława Skarczewskiego, kierownika szkoły powszechnej, jego żonę oraz żonę sekretarza gminnego Kaczewską napadło dwóch uzbrojonych w rewolwery bandytów, którzy po oddaniu strzałów do jadących zrabowali im przeszło 3.000 złotych przeznaczonych do wypłaty, poczem zbiegli w kierunku granicy niemieckiej. Strzałami bandytów została zabita Skarczewska i Kaczewska, zaś Skarczewski został ciężko ranny. Zaalarmowana straż graniczna natknęła się na bandytów i zaczęła ich ostrzeliwać. W tej strzelaninie został ciężko ranny jeden z bandytów, którego jednak towarzysze zdołali przenieść przez granicę. Poza granicą niemiecką bandyci dobili rannego towarzysza i porzucili w lesie, sami zaś umknęli dalej.

**Napad bandy dywersantów.** Banda dywersantów przeszła przez granicę i dokonała napadu na dwór Aleksandra Szysanowicza w gminie rakowskiej. Podając się za policjantów, spowodowali oni otwarcie drzwi i wtargnęli do domu. Jeden z nich oddał strzał, raniąc p. Szysanowiczową, poczem poczęli rabować. W pewnym momencie ranna p. Szysanowiczowa wyrwała jednemu z bandytów latarkę, która zgasła. Bandyci w ciemnościach dali kilka strzałów, które chybiły, poczem zbiegli, pozostawiając łupy na miejscu. Korpus ochrony pogranicza prowadzi poszukiwania.

**Straszny dramat zazdrości.** Przed sądem przysięgłych w Wiedniu toczył się onegdaj proces przeciw potwornemu zbrodniarzowi, który zastrzelił swoją kochankę z rewolweru kulami „dum dum“. Jest nim 34 le-

tni czeladnik stolarski Antoni Kayder. W roku 1923 poznał w Belgradzie pokojówkę Cecylję Schwarzbauer i nawiązał z nią trwały stosunek miłosny. Kayder był wówczas żonaty. Między nią a żoną rozpocnęły się więc gwałtowne kłótnie i bójki. Kayder oddawał wszystkie pieniądze kochance i znęcał się brutalnie nad żoną. Wkońcu nastąpił rozwód. Ale żona Kaydera wpadła w nędzę i nawiązała znów stosunki z mężem. Małżeństwo nie trwało długo i rozbiło się powtórnie. Kayder wrócił do swojej kochanki Cecylji. Wkróce jednak przekonał się, że kochanka zdradza go i utrzymuje stosunki z innymi mężczyznami. Wynikły z tego sceny zazdrości. Pewnego dnia Kayder posprzeczał się z kochanką na ulicy. W porywie gniewu wyjął nagle rewolwer i strzelił do kochanki, raniąc ją ciężko w twarz. Zalana krwią Cecylja padła na ziemię. Kayder uciekł, a po chwili wrócił i oddał do leżącej na ziemi jeszcze trzy strzały z rewolweru, zabijając ją na miejscu. Potem strzelił do siebie. Kula utkwiła w oku. Ze szpitala wyszedł Kayder ślepy na jedno oko. Sekcja zwłok zabitej wykazała, że Kayder strzelał do kochanki kulami „dum-dum“. Na rozprawie Kayder przyznał się, że sam sporządził owe kule, deformując odpowiednio naboje rewolwerowe. Chciał w ten sposób wywołać pewny skutek strzałów.

**Przytomność umysłu dziecka.** W Wiedniu zakradł się złodziej do pewnego mieszkania i majstrował koło biurka, gdzie spodziewał się znaleźć pieniądze. Na to weszła właśnie gospodyni mieszkania, lecz nim zdołała krzyknąć i zawołać pomocy sąsiadów, złodziej potężnem uderzeniem pięścią w głowę, powalił ją na ziemię.



Posłyszała z dalszych pokoi łoskot upadającego ciało czteroletnia córeczka i ujrzawszy przez uchylone drzwi matkę, leżącą na podłodze i obcego człowieka, wpadła do sąsiadów z okrzykiem, że mama zabita. Ci wtargnęli natychmiast do mieszkania i spłoszyli złodzieja. Właścicielka mieszkania wkrótce odzyskała przytomność. Wypadek ten widzimy na naszej rycinie.

**Upadek rządu francuskiego.** Do czego prowadzi rozbicie parlamentu na partje i partyjki, świadczą o tem doskonale stosunki w parlamencie francuskim. Zdarza się tam niejednokrotnie, ze rząd w ciągu jednego posiedzenia stawia dwa i trzy razy kwestję zaufania, przyczem ciągle jest niepewny, czy uzyska dla siebie potrzebną większość. Były więc wypadki, że rząd w ciągu jednego posiedzenia podczas pierwszego głosowania uzyskiwał większość, aby już przy następnem pozostać w mniejszości, a wskutek tego ustąpić. Dlatego też rządy we Francji zmieniają się kilka razy do roku. Obecny rząd pod przewodnictwem p. Tardieu bronił się przed opozycją, jak mógł, ale wkońcu nie obronił się. Wprawdzie w Izbie niższej odniósł nad opozycją zwycięstwo, ale natychmiast przypuszczono na niego atak w senacie. Przy głosowaniu uzyskał za sobą 139 głosów, gdy przeciw sobie 147 głosów. Większością więc 8 głosów został obalony. Trzeba będzie teraz sklecać nowy rząd, co zajmie więcej czasu, a przez ten czas cała gospodarka francuska musi pozostać w zastoju, póki się nowy rząd nie utworzy.

**Siedmsetna rocznica śmierci św. Antoniego.** W związku z 700-tną rocznicą śmierci św. Antoniego, Padwa przygotowuje się do wielkich uroczystości, które będą miały podobnie podniosły charakter jak uroczystości jubileuszowe ku czci św. Franciszka z Assyżu i benedyktyńskie w Montecassino. Prace komitetów duchownego i świeckiego posunęły się już tak daleko, że program obchodu naszkicowany w głównych zarysach mógł być podany do publicznej wiadomości. Oficjalna inauguracja antonjańskiego roku jubileuszowego nastąpi w pierwszych dniach maja 1931 r. Dokona jej prawdopodobnie kardynał legat papieski. Nie jest wykluczone, że Ojciec św. wyda encyklikę, która oświetli życie, działalność, cuda i historyczne znaczenie Świętego. Dokonane zostanie poświęcenie odrestaurowanych świątyń. Przewidziane jest otwarcie międzynarodowej wystawy sztuki kościelnej oraz hotelu dla 300 osób. W pierwszych dniach czerwca otworzona będzie wystawa wzorów. W ciągu miesięcy letnich organizowane będą kongresy, odczyty, oratorja i koncerty. W październiku odbędzie się w Padwie wielki „tydzień społeczny“ katolików włoskich. W marcu 1932 r. mają być otworzone odnawiane obecnie kaplice w bazylice św. Antoniego, a w maju urządzona zostanie wielka historyczna pielgrzymka z sanktuarjum w Camposampiero do sanktuarium w Aecella. Międzynarodowa wystawa sztuki kościelnej będzie otwarta przez cały rok jubileuszowy.

**Trzy razy żonaty z jedną żoną.** W Chicago mieszka poeta Leslie Spaulding, który obecnie po raz trzeci wstąpił w związki małżeńskie ze swoją własną żoną. Jak drobnych trzeba niekiedy powodów do tego, by połączyć zwaśnioną parę, na to wskazuje właśnie historja państwa Spaulding. Gdy małżonkowie po powtórnej próbie rozłączyli się poraz trzeci, byli pewni, że to już na zawsze. Tymczasem pewnego dnia miss Spaulding udała się na nabożeństwo do kościoła św. Stefana w Chicago. Podczas nabożeństwa odczytała wypisany na ścianie wiersz, który ją ogromnie wzruszył. Wychodząc ze świątyni, spytała kościelnego:

— Czyj to wiersz wypisany jest tam na ścianie?

— To poety Leslie Spauldinga.

Nie wiele myśląc, pani Spaulding pobiegła do swego eksmęża, by mu wyrazić podziw dla jego talentu. Wynik tej wizyty był taki, że w parę dni potem w tymże kościele św. Stefana pobłogosławiono po raz trzeci związek państwa Spaulding.

**W 23 latach 29 żon.** Sąd w Oakland w Kaliforeji skazał w tych dniach na 10 lat więzienia „hiperbigamistę“, nazwiskiem Noman Floyd, który przyznał się, iż w 23-ch ostatnich latach zaślubił ni mniej, ni więcej, tylko 29 żon.

— A ile narzeczonych miał pan jeszcze ponad to? — zapytał podsądnego niedyskretny sędzia.

— Zdaje mi się, że było ich około 400 — odpowiedział bez skrupułów pożeracz serc niewieścich. — Od 17 roku życia interesowały mnie zawsze kobiety. Dość rychło przekonałzm się, iż można łatwo zdobyć każdą kobietę, gdy się ją tylko odpowiednio brutalnie traktuje, i gdy się przyrzeknie małżeństwo. Chcąc osiągnąć swój cel, zaślubiłem kolejno 29 żon, które wszystkie po kolei opuszczałem.

Szczerość wynurzeń upartego bigamisty znalazła widocznie oddźwięk w sercach panów sędziów, gdyż wymierzyli mu oni stosunkowo łagodną karę.

# RZECZY CIEKAWE.

**Zabawki z przed 3000 lat.**

Archeologiczna misja amerykańska, pracująca w Grecji, na terenie starożytnego Koryntu, odnalazła w odkopanym przez siebie sarkofagu dziecka różne przedmioty, które wzbudziły najwyższą ciekawość uczonych. W sarkofagu, datującym się z przed 3.000 lat, znaleziono bowiem małego konika ulepionego z palonej gliny i pokolorowanego. Pozatem znalazły się też: mały pancerz ze skóry wyprawionej, hełm bronzowy, grzebyczek metalowy i kilka wazoników glinianych. Słowem — zabawki służące do gier i rozgrywek dziecka greckiego z przed 30 wieków. Szczegół interesujący: na nodze konika wyryte było nazwisko fabrykanta tej zabawki, nazywał się on Philoclides. Przed 3.000 lat dzieci bawiły się tak samo jak dzisiaj.

**Nowe pomiary temperatury gwiazd i planet.**

Donoszą z Frankfurtu n/M.: Czasopismo „Die Umschau" w ostatnim numerze zamieszcza następujące dane o pomiarach temperatury gwiazd i planet. W obserwatorjum astronomicznem na Mount Wilson dokonali astronomowie Edison Pettit i Seth B. Nicholson w ciągu siedmiu lat nowych pomiarów temperatury ciał niebieskich przy pomocy niezwykle wrażliwego elementu termicznego, załączonego do 100-calowego teleskopu na Mount Wilson. Precyzyjność aparatu była tak wielka, że udało się zmierzyć promieniowanie ciepła gwiazd 13 wielkości. Aby zrozumieć doniosłość tych rezultatów, wystarczy zaznaczyć, że dla nieuzbrojonego oka widzialne są gwiazdy conajmniej 6 wielkości. Z pomiarów wynika, że gwiazdy niebieskie, jak zeta Orionis posiadają temperaturę 23,000° (licząc od absolutnego zera — 273° C.), gwiazdy czerwone, jak Omikron Ceti 1800°. Słońce posiada temperaturę 6000°. Najzimniejsza z obserwowanych gwiazd jest gwiazda Cygni. Znając temperaturę danej gwiazdy i ogólną ilość promieniowanej przez nią energji, można obliczyć jej średnicę. Znając odległość gwiazdy od ziemi, można obliczyć ogólną ilość jej energji. Nie znając jej odległości, można przy pomocy „interferometru gwiaździstego" oznaczyć przynajmniej kąt, pod którym okazuje się ona obserwatorowi na ziemi. Syrjusz, jakkolwiek jest gorącym i stosunkowo bliskim ziemi, jest tak małym, że ciepło, które do nas wysyła, jest tak małe, jak ciepło gwiazdy Beteigenze, znajdującej się 30 razy dalej. Średnica Syrjusza jest półtora razy większą, od średnicy słońca, natomiast średnica Beteigenza aż 200 razy większa.

Pettit i Nicholson zmierzyli też temperatury planet i księżyca, przyczem udało się osobno obliczyć promienie własne planet i promienie odb tego przez nie światła i ciepła słonecznego.

Najwyższa temperatura Merkurego wynosi według tych obliczeń 700°. Merkury nie posiada żadnej, albo tylko nieznaczną atmosferę.

Pomiary Wenery były utrudnione z powodu stałych chmur, otaczających tę planetę.

Temperatura na Marsie podobna jest do temperatury na ziemi.

Planety zewnętrzne są bardzo zimne; mimoto wysyłają one ciepło ze swego wnętrza. Przed kilku laty jeszcze sądzono, że Jowisz jest dość ciepły, by móc promieniować własne światło. Obecnie ustalono temperaturę Jowisza na 135° absolutnie, t. j. na —135° C.

Pomiary temperatury księżyca wydały następujące rezultaty. Punkt na księżycu, otrzymujący prostopadłe światło słoneczne, posiada w czasie pełni temperaturę 118° C., w czasie pierwszej i trzeciej kwadry 65° C. Pomiary na ciemnej stronie powierzchni księżyca dały rezultat — 153°.

Uczeni amerykańscy spodziewają się, że uda się im przy pomocy swego stosu termicznego rozpoznać jakość skał na księżycu, ponieważ różne minerały odbijają w różny sposób promienie. Dla przeprowadzenia tych prac utworzył się w r. 1925 pod przewodnictwem dr. Freda E. Wrighta komitet dla zbadania struktury fizycznej księżyca.

**Dzieje pieniędzy.**

Przed tysiącami lat pieniądz-moneta nieznany był ludzkości. Handel odbywał się na drodze wymiany produktu za produkt, towaru za towar. Stopniowo tylko poczęto ułatwiać sobie wymianę towarów i produktów wzamian za pewną ilość metalu. Pierwsze pieniądze, które się pojawiły w użyciu i obiegu dalekie jeszcze były pod względem swej formy od tego, co nazywamy monetą. Były to kawałki metalu, oceniane w swej wartości według ich wagi.

Dokładna data wejścia w użycie monet nie jest znana, ale rozpowszechniony pogląd przypisuje użycie monet Grekom, którzy bili je 700 lat przed Chryst.

Po Grekach przejęli sztukę bicia monet Rzymianie. W czasie wielkiej wędrówki ludów wybijano również monety, ale bardziej prymitywne niż rzymskie.

W 12-ym wieku bito monety w Niemczech, przeważnie srebrne. Monety te były jednostronnie tylko wybijane, t. j. druga strona była gładka, bez cyfr, napisów i płaskorzeźb.

W połowie 14-go wieku bito już prawie wszędzie monety złote i srebrne obustronne. Pojawiły się guldeny złote, cekiny, grosze czeskie. W ciągu następnych stuleci technika mennictwa rozwinęła się i udoskonaliła znacznie, a obieg monet złotych i srebrnych rozszerzył we wszystkich krajach europejskich.

**Strach i trwoga przed śmiercią.**

Jednym z powodów, dla których śmierć wzbudza tak wielką trwogę w ludziach jest przekonanie, że rozłączeniu duszy z ciałem towarzyszą wielkie cierpienia. Stanowcze rozstrzygnięcie tej sprawy jest niemożliwe, ale twierdzenie lekarzy, oparte na znacznej liczbie faktów i spostrzeżeń, dąży do zwalczania ustalonych w tym względzie pojęć.

Pewien znakomity lekarz i znawca ustroju ciała ludzkiego w ten sposób się wyraża: „Mam wielką liczbę danych, że śmierć nie jest bolesną, podobnie jak nie jest bolesne zaśnięcie po dniu mozolnie spędzonym. Osoby, które się topiły, wieszały lub wskutek zmarznięcia umarły pozornie, a potem zostały przywrócone do życia zapewniały, że nie doznawały żadnych cierpień".

To, co nazywają walką przedśmiertną jest tylko machinalne i nie bywa odczuwane. Sławny naturalista, Buffon, mówi: „Dlaczego mamy lękać się śmierci, kiedy ona jest równie naturalną, jak życie? Rodzimy się i umieramy nie wiedząc nawet o tem". Jeżeli zapytamy się osób, które często widują umierających, wszystkie odpowiedzą nam zgodnie, że z wyjątkiem małej liczby chorób, przy których objawiają się bolesne kurcze, śmierć wogóle była łagodną, spokojną i bez cierpień.

Widok przedśmiertnej walki jest przykrzejszy dla otaczających niż dla samego konającego; on najczęściej nic nie czuje. Świadczą o tem słowa umierających, którzy zostali przywróceni do życia. Po większej części ludzie nie wiedzą, że umierają, a wśród małej liczby tych co do końca zachowują przytomność nie ma ani jednego, któryby nie łudził się nadzieją powrotu do zdrowia. Śmierć bynajmniej nie jest rzeczą tak straszną, jak sobie wyobrażamy, jest to widmo, które z daleka tylko nas przeraża, a z bliska niknie.

W chwili śmierci ciało jest więcej osłabione niż zwykle, a zatem i jego cierpienia nie mogą być silne. Można wiele przytoczyć przykładów, że osoby pozornie umarłe, a potem przywrócone do życia, opowiadały o przyjemnych wrażeniach, jakich doznawały w chwili śmierci.

Pewien sławny uczony utrzymywał, że słyszał wtedy jakąś prześliczną muzykę. Kilku topielcom, wyratowanym z wody, także zdawało się, że dochodzą ich rozkoszne melodje, a pewna kobieta, w którą piorun uderzył, doznała takiego uczucia, jakgdyby rozpływała się wśród ciemności.

Pełno znajdujemy takich świadectw w starożytnej i nowożytnej literaturze.

Zdaniem fizjologów, ludzie przed śmiercią przestają czuć, potem tracą świadomość, a tam, gdzie niema czucia i świadomości nie może być cierpienia. To co bierzemy za bolesną walkę przedśmiertną jest tylko bezwiednym odruchem muskułów.

Przed śmiercią ciało znajduje się prawdopodobnie jakby pod działaniem narkotyku.

## ODPOWIEDZI REDAKCJI.

**Na konkurs** w ostatniej chwili otrzymaliśmy jeszcze następujące utwory: „U zmierzchu jesieni" i „Miłość matki". Ponieważ termin nadsyłania utworów upłynął z dniem 1 b. m., przeto dalszych prac konkursowych już nie przyjmujemy. Po dokładnem przeczytaniu i ocenieniu nadesłanych utworów w liczbie kilkudziesięciu, ocenę ich umieścimy w jednym z numerów po Nowym Roku.

Pp.: **Kachna Ł. Łza** w W.: Cieszy nas bardzo, że Pani tak skutecznie pracowała dla wielkiej myśli politycznej. Niestety nie wszystkie Polki zrozumiały ważność ubiegłych wyborów i poszły za hasłami demagogicznemi. — **Józef Serafin** w M.: Z nadesłanych utworów skorzystamy w numerze świątecznym. — **Franciszek Surówka** w W.: Nadesłany wierszyk zamieścimy. — **Piotr Wenc** w S.: Otrzymaliśmy, dziękujemy. — **Józef Hebda** w P.: „Za wiarę" jest to echo z przebrzmiałej już, na szczęście, przeszłości, zbyt fragmentarycznie opracowane „Przygody Rjumina" jako dobry żarcik zamieścimy. — **Józef Cieplik** w K.: Zagadki dobre, kiedy jednak ukażą się w druku, ze względu na wielką ilość materjału trudno nam oznaczyć. — **August Wasylecki** w T.: W wierszykach Pańskich widać dużo dobrych chęci, ale brak jeszcze opanowania formy i polotu myśli. W wierszu musi być nietylko rym, ale i rytm oraz należyta kadencja, czyli następstwo zgłosek po sobie. Jeżeli nie wydrukujemy pierwszych utworów, nie trzeba się tem zrażać, ale próbować dalej. Wszak i najwięksi poeci pisali z początku rzeczy słabe. Że nam Pan opisał swoje życie, bardzo nas to cieszy, gdyż przyjemnie znać swoich przyjaciół. — **Władysław Mirek** w N.: „Zima" się nie udała. — Musi nam Pan napisać dokładnie, kiedy otrzymuje „Rolę" i kiedy posłaniec gminny przynosi pocztę z urzędu w Jordanowie. — **Stefanja Moskal** w W. T.: Do końca roku brak 2.20 zł. O motorku poinformuje firma Weisman, Kraków, ul. Szewska.

**Unieważnia się** zgubione zaświadczenie poboru na imię Tomasz Fąfara, urodz. w 1908 roku w Żegocinie, pow. Bochnia, wydaną przez komisję poborową w Bochni.

# Zagadki do nagrody.

## 1. Logogryf.

(Ułożył Tadeusz Frączek z R.).

■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Egzamin dojrzałości.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Kraj w Azji.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Mała fortyfikacja.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Imię żeńskie.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Przyrząd fotograficzny.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Miasto małopolskie.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Nauka o świetle.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Wiadomość
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Owoc.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Kraj w Europie.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Narzędzie krawieckie.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Część karabinu.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Sąsiad Polski.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Imię żeńskie.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Wódz kozacki.

Litery początkowe, czytane z góry na dół dadzą imię i nazwisko poetki polskiej.

## 2. Szarady.

(Ułożył Tadeusz Frączek z R.).

I.

Pierwsze wraz z drugiem biblijne miasteczko,
Z nauki religji zna go każde dziecko.
W pierwszą trzecią niekiedy kapłan się ubiera,
Zaś trzecia pierwsza znowu towary zawiera.
Maciuś ciągle kropi trzeciego drugiego,
Tak się mu podoba, co komu do tego.
Całość sprzęt, na którym można spać i siedzieć,
Na wsi dość powszechny. Dobrze o tem wiedzieć.

II.

Drugie trzecie to nazwa jest opakowania,
Trzecie wspak to miara powierzchni jest znana,
Trzecie drugie znowu część zapłaty znaczy,
Rozwiązać tę szaradę niech czytelnik raczy.
Całość to instrument, co służy do grania,
Choć niektórym ludziom i do nakręcania.

## 3. Szarada literowa.

(Ułożył H. Bilka-Głębicki).

Jest to cała wstęga wody,
Która, gdy niema pogody,
Bardzo często wtedy wzbiera
Przez raz pięć czwarty przedziera
Się i czyni ludziom szkody,
Bo, wylewa swoje wody,
Jej trzy dwa cztery pięć wielka,
Że nie boi się człowieka.

## 4. Logogryf.

(Ułożył Tadeusz Frączek z R.).

■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Małe żyjątko.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Imię żeńskie (zdrob.).
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Ozdoba na szyję.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Są w kościele.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Ptak domowy.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Służy do strzelania.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Imię żeńskie.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Statua inaczej.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Część świata.
■ H ☆ ☆ ☆ ☆ Niewiasta biblijna.

Litery początkowe, czytane z góry na dół dadzą imię i nazwisko znanego pisarza polskiego z XVI wieku.

Za dobre rozwiązanie powyższych zagadek przeznaczamy dwie książki do rozlosowania.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa dnia 19 bm.

Znaczenie zagadek z Nru 48 „Roli": 1. Logogryf: Powstanie Listopadowe. 2. Szarady: I. Krytyka. II. Niezapominajka. 3. Szarady literowe: I. Polska. II. Stolarz. 4. Układanki: Rejowiec-Koniecpol-Maciejowice.

W oznaczonym czasie rozwiązania nadesłali pp.: Wł. Sowiźrał z J., Jan Gara z W., Piotr Wenc z S., Piotr Leśniak z M., Józef Topolski z B., Wincenty Kula z M. K., Józef Hara z R., Józef Cieplik z K., Karol Domagała z N., Jan Sypowski z W., Michał Maślak z G., Stanisław Koźbiał z G., Jan Ozga z T., Marek Ożóg z J., Władysław Gąsienica z Z., Miecislav Romanescu z K., Piotr Glica z S. G., Antoni Kroki z M. G., Stanisław Pawłasek z F., Czesław Pawłasek z F., Bolesław Kaczmarczyk z N.

Nagrody wylosowali pp.: Marek Ożóg z J. i Karol Domagała N.

Wydawca: Feliks Kowalczyk. Odpowiedzialny redaktor: Antoni St. Bassara.
W drukarni „Czasu" w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.

### Giełda płodów rolniczych
z dnia 9 grudnia b. r.

| | | | |
|---|---|---|---|
| Pszenica | 27·00—27·50 | Słoma długa | 6·00—6·50 |
| Żyto . | 20·00—20·50 | Ziemniaki stoł. | 6·00—6·50 |
| Owies . . | 21·00—21·50 | Koniczyna nasienn. czer. | 000·00—000·00 |
| Jęczmień . | 20·00—20·50 | | |
| Fasola biała | 45·00—47·00 | Mąka żytnia | 36·50—37·00 |
| Groch zwyk. | 30·00—35·00 | Mąka pszen. | 53·00—54·00 |
| Siano słodk. | 11·50—12·50 | Otręby pszen. | 14·00—00·00 |
| Łubin żóły | 25·50—26·50 | Otręby żytnie | 13·00—00·00 |
| Koniczpastew. | 15·00—16·00 | Mąka czerw. | 16·50—17·00 |

Ceny rozumieją się za towar średniej handl. jakości za 100 kg.

### Ceny bydła i nierogacizny na krakowskiej targowicy
w dniu 9 grudnia b. r.

Płacono za jeden kilogram żywej wagi:

| | | | |
|---|---|---|---|
| Buhaje . | od 0·90 do 1·28 zł. | Jałownik | od 0·85 do 1·24 zł. |
| Woły . . | od 0·85 do 1·35 zł. | Cielęta . | od 1·90 do 1·98 zł. |
| Krowy . | od 0·80 do 1·15 zł. | Kozy i barany | 0·00 do 0·00 zł. |
| Nierogaciznę | 1·62 do 2·05 zł. | Nierogaciznę bitej wagi | od 1·90 do 2.40 |

**Numera zaległe od Nowego Roku posiadamy jeszcze w zapasie.** Wszyscy nowi Prenumeratorzy dla całości rocznika mogą je nabywać.